Nr. 15. Poznań, Niedziela, dnia 9 kwietnia 1905 r. Rok IX.

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 15-go.

„Furya germańska.“

„Pierwszym obowiązkiem narodu jest dążność samozachowawcza, poszanowanie samego siebie i uchronienie go przed obcymi, zgubnymi wpływami.“

„Koelnische Ztg.“

Do sumienia hakatystów odzywać się nie warto, bo go nie mają. Do rozumu ich nie przemawia żaden, chociaż by najwytworniejszy argument. Ci olśnieni swą wielkością dorobkiewicze i plebejusze duchowi patrzą na nas przez pryzmat wrzekomej wyższości i racyi stanu, która zaleca im tępienie słabszych, uświęca ich praktyki i podsyca ich znaną teutońską butę.

O tem przekonali się stokrotnie nasi posłowie w Berlinie.

Jedynie słowo prawdy, wyjęte z pod serca i ciśnięte śmiało w oczy nieprzejednanym wrogom, robi na nich wrażenie. Wtedy Polacy im imponują; opuszcza ich ton lekceważący, jakim zwykle odpowiadają w izbach ustawodawczych Polakom, zapominają zwykłych frazesów,którymi zbywa się wywody posłów polskich, i wtedy ukazuje się prawdziwe ich oblicze, furya germańska, naga dusza Prusaka.

W takim to nastroju zmarły min. Hammerstein ujawnił bezmiar krzyżackiej zarozumiałości, przedstawiając Prusaków jako urodzonych władzców, a nas jako niewolników. Podobnie poseł Gersdorff, dotknięty do żywego w swem poczuciu wyższości rasowej słowami posła hr. Mielżyńskiego, nazwał Prusy matką Polaków, a jednocześnie tę „matkę“ przedstawił nam jako „furyę,“ która zetrze głowę polskiej „żmii“. Ten kwiatek hakatystycznego rozumowania uwidocznił znowu pruską duszę. Póki świat światem nie był Niemiec Polakowi bratem; nie wiemy też nic o tem, aby Niemcy były „matką“ Polaków, natomiast o furyi germańskiej możemy bardzo wiele powiedzieć. Wobec tej furyi zaś nie jesteśmy „żmiją,“ lecz — hydrą. Ile razy furya germańska zetrze jej głowę, odrasta ona stokrotnie. Bezsilną jest wściekłość hakaty!

Z powodu ostatniej mowy hr. Mielżyńskiego, którą podajemy w całości, furya germańska ukazała się z pod powłoki kultury nietylko w parlamencie, ale także w prasie niemieckiej. Jeden z największych organów: *„Koelnische Ztg.“* w artykule wstępnym: *„Po polsku, zbyt po polsku“* *) folguje swej wściekłości, tak charakteryzując mowę naszego posła:

„Arcytwór ducha narodowego fanatyzmu, ślepego zacietrzewienia, się w przewrotnych wyobrażeniach, nieokiełznanej nienawiści przeciw żywiącym inne opinie zbudował podczas obrad nad budżetem wojny w parlamencie rzeszy poseł hr. Mielżyński. Wiatrakiem, z którym szlachetny poseł walczył, był związek hakatystów.

„Wiadomo jest powszechnie, że związek ten utworzono jako przeciwwagę Towarzystwa Marcinkowskiego, które, jako związek polsko-narodowy, wszystko czyni, ażeby podsycać i ożywiać ideę wielkiego państwa polskiego, sięgającego od Sprewy do morza Czarnego i pragnącego wydrzeć Niemcom nietylko Prusy Zachodnie i Poznańskie, ale i Ślązk Górny (!) Towarzystwo to nie pogardza żadnemi środkami, wiodącemi do celu. (!) Jeżeli Niemcy naprzeciw takiemu stowarzyszeniu wznoszą twierdzę obronną, z której bystro śledzą wokół, ażeby *bronić* (!) ziemi niemieckiej i mienia niemieckiego, któż mógłby ich za to ganić? Gdy oficerowie i urzędnicy, którym przedewszystkiem powierzono troskę o ojczyznę, ze związkiem takim sympatyzują, któżby im mógł wziąć to za złe?

„Nikt — oprócz ludzi, przesyconych nienawiścią narodową. Hr. Mielżyński przytoczył § 49 ustawy wojskowej z d. 2-go maja 1874, który zabrania służącym w czynnej armii należenia do związków i stowarzyszeń politycznych. Na zgromadzeniu festynowem „Ostmarkenvereinu“ ku czci dziesięcioletniego istnienia tego Towarzystwa nie chodziło o osiągnięcie jakichkolwiek konkretnych celów politycznych; uroczystość była spojrzeniem

*) Patrz nr. 318 z dnia 27-go marca r. b.

wsteez na to, co osiągnięto, i spojrzeniem przed siebie na to, do czego dążyć należy w przyszłości dla dobra ojczyzny. Jeżeli hr. Mielżyński porównywa bal, kończący tę jubileuszową uroczystość, z balami lampartów i gałganiarzy; jeżeli powiedział, że dla założycieli związku trzech liter czuje tylko pogardę, to widać ztąd tylko, do jak wysokiego stopnia sugestya wszechpolska może w człowieku pomieszać i opętać zmysły. A do tego człowiek ten jest emerytowanym porucznikiem i jako sekretarz członkiem prezydyum parlamentu rzeszy!

„Niebezpieczeństwo polskie jest blizkie. W rosyjskim kraju Przywiślańskim, w Galicyi tkwi pień dębu słowiańskiego, który wysyła gałęzie swojej narodowej propagandy do Prus zachodnich, Poznańskiego, ba, nawet na Pomorze. Polska liga narodowa i błyszczące złoto złożonego nad brzegami Sekwany „skarbu polskiego“ podsycają u wszystkich Polaków dążenia, które streszczają się w tem, aby w Prusiech czarnego orła państwowego zakrył swojemi skrzydłami inny orzeł. Polak berliński, tysiącznemi ogniwami zespolony z resztą swoich rodaków tamtejszych, Polak coraz gęściej osiadający nad Renem, kryje ze czcią w zanadrzu swój śpiewniczek sokoli, który w romantycznych barwach maluje mu przeszłość i przyszłość, zamiast poczuwania się do wdzięczności za *dobrodziejstwa* (!), które stuletnia przynależność do państwa pruskiego przyniosła Polakom na miejsce ich tradycyjnego (!) rozprzężenia wewnętrznego, i zamiast przypomnienia sobie, że państwo polskie w dobie swojej niezawisłości nie wydało innych owoców kultury, oprócz sporów, waśni i zdrady na własnej ojczyźnie.“

W końcu „Koeln. Ztg.,“ za pierwszy obowiązek narodu poczytując dążność samozachowawczą, poszanowanie samego siebie i uchronienie go przed obcymi, zgubnymi wpływami“ — grozi polskiej „żmii“ „furyą germańską“ na wzór posła Gersdorffa.

„Zbyt polską“ wydała się mowa hr. Mielżyńskiego rządowemu organowi, a ponieważ wszystko co rzeczywiście nosi barwy biało-czerwone działa na hakatystów jak czerwona chusta na byka, więc hejże na Polaków! Gdyby wszakże „Koeln. Ztg.“ zechciała się zastanowić w czem leży „zbytnia polskość“ tej mowy, przekonałaby się, że nie ma w niej nic zbytniego, nic fanatycznego.

I my uznajemy dążność samozachowawczą za pierwszy narodowy obowiązek. Lecz to właśnie, co u Niemców samych jest naturalnem i pochwały godnem, uchodzi w oczach hakaty za „zbyt polskie,“ za czarną niewdzięczność żmii u Polaków, bo Niemcy mają dwie miary i władze ich umysłowe zaćmiewa *furor teutonicus.*

Ordon.

Z niwy politycznej.

Nasi najserdeczniejsi pracują w Petersburgu nad tem, aby odwieść rząd rosyjski od ustępstw na rzecz Polaków w sprawie języka polskiego. Biuro Reutera dowiaduje się z Warszawy, że „gdy „Now. Wremia“ oświadczyła, że większość komitetu ministrów przychyla się do ustępstw, zamieniono natychmiast kilka telegramów pomiędzy Berlinem a Petersburgiem. *Rząd niemiecki protestował na wszelki możliwy sposób przeciwko ustępstwom językowym dla Polaków w Rosyi, ponieważ bez wątpienia obawiał się skutków, jakie podobne ustępstwa miećby musiały dla szkół we wschodnich dzielnicach Prus.*“

Niemcy wprawdzie przeczą temu, lecz nie ulega wątpliwości, że starają się zapobiedz ustępstwom na rzecz Polaków, a co gorsza, że rząd rosyjski liczy się z tem. Donosiliśmy niedawno, że min. Witte w rozmawie z pewnym Polakiem nie obwijając prawdy w bawełnę wyznał, że jedynie ze względu na Prusy rząd ociąga się z ulgami dla Polaków. Niemniej jednemu z delegatów warszawskich oświadczył on to samo.

Wpływom pruskim też przypisujemy, że rząd rosyjski zachwiał się i rejteruje w tej sprawie. Takie zachowanie się rządu musi ludność w Królestwie usposobić jeszcze gorzej dla rządu i przyczynić się do tem większego fermentu.

Mimo wszelkich wysiłków ze strony Niemców, mimo obecnej chwiejności Rosya nie zejdzie już z drogi ustępstw, bo *nie może.*

* * *

Przy *trzeciem czytaniu etatu Rzeszy,* a mianowicie etatu wojskowego posłowie polscy zmierzyli się ostro z

Ze sceny i estrady.

„Intryga i miłość“ — tragedya Szylera.

„Wróg ludu“ — dramat Ibsena.

Zwietrzałe utwory szylerowskie straciły swój powab. Nie muza poety, nie osnowa tragedyi lecz jedynie przynęca widza gra aktorów, o ile wyszkoleni w tego pokroju sztukach każą mu wierzyć, w co trzeźwy rozsądek wierzyć nie pozwala, i wbrew nowoczesnemu smakowi porywają go „w krainę poety.“ Lecz nasi aktorzy, wychowani w całkiem innej szkole, nie umieją wcale odtwarzać postaci poczętych i zrodzonych w wyobraźni. Przywykli do grywania sztuk, obrazujących życie, nie rozumieją ducha idealistycznej poezyi Szylera, nie posiadają odpowiednich środków technicznych. Przedstawienia „Zbójców“ i „Wilhelma Tela“ ujawniły te braki. Nauka, jaką dała poznańskim aktorom Modrzejewska w swej „Maryi Stuart“ poszła w las i „Intryga i miłość“ nie zrobiła wrażenia.

Piękną jest rola Ferdynanda, lecz winna spoczywać w ręku pierwszorzędnego, bohaterskiego kochanka, obdarzonego porywającym temperamentem, młodzieńczą werwą i ogniem, który, grając dla widza, a nie dla partnera lub partnerki, intonuje właściwie każde słowo i uwypukla każdy moment koturnową giestykulacyą. Artysta winien swą sztuką, czarem swej osobistości żywiołowo oddziaływać na widza, przelać coś z żaru młodzieńczych, szlachetnych uczuć Ferdynanda w pierś słuchacza. Jeźli tego nie potrafi, wyda nam się cały jego romans bladym, bezkrwistym, nieszczerym. P. Wiślański uzdolniony w kierunku melodramatycznym mógłby stworzyć z Ferdynanda czarującą, stylową postać, lecz brak mu szkoły, brak zapału i tak Ferdynand jego był papierowym, nudnym.

Pani Morska jako Ludwika w pierwszych aktach grała bez zapału, jakby zmrożona pustką w teatrze. Dopiero w ostatnie sceny wlała więcej uczucia, chociaż i tu dał się uczuć brak nieodzownego patosu i pozy. Z przejęciem oddał starego skrzypka p. Szczurkiewicz. Nieźle wywiązali się z zadania pp. Poleński i Turski, natomiast „Kalb“ nie udał się panu Prochasce. Rola książęcej metresy przechodziła siły panny Olchowskiej.

* * *

Taką jest dola osobników wyższych, szlachetniejszych, że wchodzą w konflikt ze środowiskiem, w którem nie ma silnych uczuć, pragnień i popędów. Silna indywidualność działa wśród stężałych stosunków jak dynamit rozsadzająco; ztąd nawet dla najlepszych staje się niewygodną. I tak potężny instynkt żądzy mocy spotyka się z potępieniem społeczności. Wywięzuje się walka, w której tłuszcza zwycięża i albo miażdży indywidual-

zastępem wrogów. Poseł *Skarzyński* skorzystał z tej sposobności, by rozprawić się z p. ministrem wojny, który przy drugiem czytaniu etatu twierdził, że Polacy zawdzięczają swój rozwój kulturalny jedynie rządowi pruskiemu a nie własnym siłom.

Protestując przeciwko temu twierdzeniu, poseł S. podniósł, że „zasługi dynastyi Hohenzollernów około kultury niemieckiej wogóle bywają bardzo przeceniane. Że Polacy mimo wrogiej działalności rządu i hakaty robią postępy na drodze kultury, zawdzięczają to jedynie własnym siłom. Nieprawdziwem jest także twierdzenie ministra wojny, że bojkot w Poznaniu jest oficyalnie polskim. Odwrotnie bojkot wojskowy jest oficyalnym, a wywody ministra wojny są bez wszelkiej logiki. Dla czego rok 1863 ma być początkiem bojkotu polskiego, to już pozostanie tajemnicą posła *Gersdorffa*. Właśnie od tego roku począwszy Polacy wobec prób germanizacyjnych znajdowali się zawsze tylko w stanie obronnym i całkiem niesłusznie mówi się o agitacyi wielkopolskiej. Polacy bronią tylko swojej kultury. Tak samo zaczepiane bezustannie Towarzystwo Pomocy Naukowej Imienia dra. Karola Marcinkowskiego ma tylko zadanie kulturalno-społeczne i z polityką nie ma nic do czynienia. Do podniecenia szaleństwa niemieckiego (furor teutonicus), o którem mówił poseł Gersdorff, nie ma więc najmniejszego powodu. Matka pruska, która zdaniem posła Gersdorffa wykarmiła węża polskiego, jest w rzeczywistości wyrodną matką (eine Rabenmutter).“ (Brawo u Polaków).

Hakatysta p. *Gersdorff*, który wystąpił po raz wtóry z niesłyszaną butą, tłomaczył, że ostre zaczepki posła hr. Mielżyńskiego wymagały ostrej odpowiedzi. „Z Polakami nie porozumiemy się nigdy... Gdyby Polacy byli zachowali swoją samoistność, kultura ich byłaby o wiele niższa... Minister miał słuszne podstawy twierdzić, że bojkot rozpoczęli Polacy już w roku 1863... Jeżeli Polacy chcą wytworzyć jaki taki *modus vivendi*, to powinni wyłączyć sprawy polskie z dyskusyi parlamentarnej i wyrzec się mów podburzających.“ (Śmiech u Polaków.)

Przeciw tej nauce wystąpił poseł *Czarliński* i dał p. Gersdorffowi lekcyę w historyi. „Milczelibyśmy chętnie o naszych sprawach, gdybyście się panowie na prawicy podjęli naszej obrony. Ale tak, jak jest, mamy święty obowiązek otworzenia ócz narodowi niemieckiemu. Rządowi pruskiemu nie chodzi bynajmniej o pogodzenie Polaków z Niemcami, lecz usiłuje on nas zgermanizować i wynarodowić.“ „Agitacya polska, tak jak panowie ją pojmujecie, wcale nie istnieje. Odbudowanie państwa polskiego pozostawiamy Panu Bogu. Nie można przewidzieć, jak on sprawą naszą pokieruje. Ale nigdy nie przestaniemy opierać się dążnościom germanizacyjnym.“ (Brawo u Polaków!)

Hakatysta p. Tiedemann oświadcza na to, że prowincye zajęte przez Prusy z Polski składały się ze szlachty, duchowieństwa i z ludu, stojącego na najniższej stopie kultury. Coby się było stało z Polakami, gdyby Prusy nie były pozakładały szkół, nie budowały dróg i nie meljorowały roli? Mam największy podziw dla wielkiej siły Polaków, dla ich narodowych celów i dla ich niezużytej siły żywotnej. Ale zkąd dostali oni środki, aby się w ten sposób rozwinąć? Oczywiście od rządu pruskiego. Polacy chcą być koniecznie młotem, ale nie mogą żądać, aby Niemcy zawsze byli kowadłem.

Poseł dr. Antoni *Chłapowski* odpowiada: „Gdyby Polacy tak bojkotowali Niemców, jak twierdzi towarzystwo hakatystów, wówczas dwie trzecie, albo trzy czwarte wszystkich kupców niemieckich po miastach musiałoby pójść z torbami. Ale Polacy tego nie czynią. Mówca poprzedni nie czytał widocznie „Posener Tageblattu,“ w którym po prostu wzywano Niemców, aby nie kupowali w firmach polskich. Rozrzucono nawet listy zawierające spis Polaków z niemieckiemi nazwiskami, żeby się czasem Niemcy nie pomylili. Polaków zewsząd się wypędza; my jednak nie przestaniemy dążyć do tego, byśmy zawsze pozostali Polakami.“

Wolnomyślny poseł Gottheim zauważył, że polityka pruska wobec Polaków nie była szczęśliwą. Polityka bojkotu przeszkadza pokojowemu współpracowaniu obu narodowości.

Kanclerz *hr. Bülow* sądzi, że najcięższym jest zarzut, iż pruska polityka polska była pozbawioną ciągłości. „Dla tego też będziemy się starali, aby w przyszłości rząd pruski prowadził politykę jednolitą.“

Pos. Kulerski: „Nie zauważyliśmy dotychczas żadnego braku ciągłości w postępowaniu rządu pruskiego, skoro chodziło o wytępienie narodowości polskiej, tylko gwałty były raz ostrzejsze,

---

ność, podbija ją i podcina skrzydła, albo wyelIminowuje ją z pośród siebie naturalnym procesem niby obcą sobie naleciałość.

Takim nadczłowiekiem w łonie małomiasteczkowego światka skandynawskiego jest lekarz kąpielowy Otton Stockman, szlachetna, silna jakby z jednej bryły wykuta postać mężczyzny o wielkiej duszy, nieugiętym karku, z głową w obłokach. A na tle liliputcich istót, zbrukanych w kałuży ciasnych stosunków, egoistycznych, małych popędów, Stockman, wyposażony zresztą wszystkiemi cechami człowieka z krwi i kości, wyrasta w oczach widza na olbrzyma.

Jako uczciwy człowiek, ogrzany chęcią służenia współobywatelom i kuracyuszom, wyjawia Stockman swe odkrycie, a mianowicie, że woda jest zatrutą przypływami z garbarni, położonych nad lecznicą i wskutek tego cały zakład kąpielowy jest źródłem jadu. Odkrycie to rewolucyonizuje całe miasto. Patrząc na tę sprawę pod kątem swych osobistych interesów różni ludzie różne zajmują stanowisko wobec tego, ale wszyscy stają na przeciwległym biegunie. Zwartym szeregiem przeciwstawiają się doktorowi, mieniąc się społecznością, ludem, demokracyą czy liberalną większością, gwałcą nawet jego naturalne prawa, starając się zamknąć mu usta, wypędzić go z miasta, uniemożliwić. Jedynemu mężowi, który istotnie nosi w sercu ideał dobra ogółu i pragnie przysłużyć się ludowi dostaje się miano: *wroga ludu*, niebezpiecznego dla społeczności człowieka, apostaty wielkiego liberalnego stronnictwa. Lud wybija szyby kamieniami jedynemu swemu przyjacielowi, bo jak zwykle, daje się prowadzić przez prowodyrów na pasku ich partyjnych i osobistych względów.

Ibsen włożywszy rękę w wir spraw politycznych, wydobył skończenie doskonały obraz, a tak pogłębiony, że jak w zwierciadle przejrzyć się może w nim każda społeczność. To już nie tylko norweskie miasto nadmorskie, to — jeźli kto chce — Poznań. Wszędzie ludzie są jedni i ci sami, wszędzie stosunki ukształtowują się na podobną modłę, wszędzie stronnictwo bierze ludzkie znamienia w niewolę, wszędzie polityka paczy dusze, ściąga ludzi z wyżyn i psuje charaktery. Głównie widz biorący czynny udział w życiu publicznem potrafi ocenić okropną ironię położenia Stockmana, świetnie uchwyconą psychologią aktorów tej sprawy i tłumu.

W walce tej doktor robi spostrzeżenia, z których warto wynotować jedno czy dwa.

„Stronnictwo — mówi do marynarza, który stojąc zupełnie na uboczu od wszelkich walk partyjnych umie odczuć wielkość jego duszy — to ro-

to znowu łagodniejsze. Posługujemy się w tej walce środkami honorowemi i walkę będziemy prowadzili dalej, ufni w Tego, który zawsze staje po stronie słuszności. Dzisiejsza zapowiedź walki ze strony kanclerza obudzi z letargu tych ostatnich, którzy jeszcze hołdują narodowemu indyferentyzmowi. Dziś doszło do tego, że żaden Polak nie może uczęszczać do lokalu, do którego chodzą Niemcy. Nawet na ulicy nie można spokojnie po polsku mówić. Nic dziwnego, że rodzice, których stać na to, wysyłają córki do Lwowa dla gruntownego nauczenia się po polsku, bo tego to języka nie wolno używać w szkołach pruskich.''

Tak w streszczeniu przedstawia się najnowsza „debata polska'' w parlamencie.

* * *

Hakatyści umieją być wdzięczni! Poseł Gersdorff przez napaść swoją na Polaków zaskarbił sobie ich łaski. Powiedział on jak wiadomo, że pruska ojczyzna wykarmiła własną piersią żmiję (t. j. Polaków), która ją kąsa, ale Polacy winni strzedz się przed furyą germańską, bo ona żmii zetrze głowę.

Za to poseł G. odebrał od Ostmarkenvereinu dziękczynne pismo:

„Szanowny Panie! Za miłe i uznania godne słowa, z jakiemi Pan się zwrócił na zaczepki p. hr. Mielżyńskiego na niemiecki „Ostmarkenverajn'' na posiedzeniu parlamentu z 23-go marca b. r., wyrażamy panu nasze najgłębsze podziękowanie. W ciężkiej i strasznej walce przeciwko Polakom każde uznanie dodaje nam nowych sił do popierania prześladowanej niemczyzny w dzielnicach polskich. Zniesiemy pogardę, z jaką p. hr. Mielżyński zwrócił się w pierwszej linii do nas, jako do kierowników i przywódzców niemieckiego „Ostmarkenverajnu.'' Myśmy nigdy nie starali się o to,, ażeby zyskać uznanie i szacunek p. hr. Mielżyńskiego i jego przyjaciół. Ubolewamy jednak, że mąż tego pochodzenia i tego wykształcenia, co hr. Mielżyński, pozwolił się w nienawiści do Niemców tak dalece unieść, że walkę pomiędzy dwoma narodowościami starał się zatruć osobistemi zaczepkami. Z gniewu i rozdrażnienia p. posła widzimy, że działalność „Ostmarkenverajnu'' uważa za szkodliwą dla wielkopolskiej agitacyi. O to nam chodzi. — Główny Zarząd „Ostmarkenverajnu.''

Widocznie mowa posła Mielżyńskiego zepsuła humor hakacie.

* * *

Nowe prawo górnicze opiewa między innemi, że do wydziałów robotniczych wolno wybierać tylko takich robotników, którzy władają językiem niemieckim.

Poseł Spahn, a jeszcze dobitniej poseł Korfanty przemawiali w sejmie pruskim przeciwko tej antypolskiej klauzurze. Jeźli są górnicy polscy, którzy nie władają językiem niemieckim, to wina rządu pruskiego i jego szkoły. Zresztą znajomość języka urzędowego nie powinna dawać górnikom przywileju nad nie umiejącymi po niemiecku. Polak bez znajomości tego języka może być wiele zdolniejszym przedstawicielem robotników od Niemca. Powtóre sprawiedliwość wymaga, aby polscy robotnicy mieli w wydziale polskiego przedstawiciela, który ich położenie, potrzeby i życzenia lepiej zrozumie od Niemca.

„Opiekuńczy'' rząd nie pomija żadnej sposobności, gdy idzie o Polaków. I przy tej ustawie musiał ujawnić antypolskie swe tendencye. Niech robotnicy polscy spamiętają to sobie!

* * *

Związki górnicze wysłały do Berlina delegatów celem porozumienia się z rządem w sprawie nowego prawa górniczego. Atoli rząd nie wszedł z nimi w rokowania tłomacząc się tem, że „sprawy górnicze należą do spraw krajowych.''

Zjednoczenie zawodowe polskie wysłało do Berlina 10 delegatów, z tych jednego z Saksonii. Delegaci ci urządzili zebranie dla rodaków berlińskich, aby się z nimi poznać i pomówić o wspólnych sprawach.

Jak donosi „Dzien. Berl.'' zebranie zagaił członek „komisyi siedmiu'' pan Regulski, którego też wybrano przewodniczącym. Zastępcą przewodniczącego wybrano prezesa naszego Związku robotniczego p. Teodora Blocha z Berlina, a sekretarzem p. Piotrowskiego, delegata „Związku Zawodowego Polskiego'' z Poznania.

P. Sosiński mówiąc o strejku górniczym zalecał przystępowanie wszystkich robotników polskich do Zjednoczenia.

Organizacya ta polskich górników westfalsko-nadreńskich liczy obecnie 26,000 członków (w czasie strajku powiększyła się o 12 tysięcy), mimo to jest jeszcze dużo takich, którzy wcale

---

dzaj ssawski moralnej, wysysającej stopniowo mózg i sumienie. Ztąd pochodzi, że tyle u nas bezmózgich idyotów.''

Albo dalej:

„Partyjne programy przyduszają wszelkie śmielsze porywy, zagłuszają prawdę, a owo wieczne oglądanie się na wszystkie strony i liczenie się z najróżniejszymi względami wywraca zupełnie pojęcie moralności i sprawiedliwości i niejednemu życie w piekło zamienia.''

W obliczu tłumu, u którego „brak tlenu oddziałał osłabiająco na sumienie,'' Stockman jest bezsilnym; napróżno usiłuje przekonać słuchaczów o bezmiarze obłudy, stłumiającej rozwój życia społecznego. Słuchacze nie rozumieją go, bo nie myślą samoistnie, lecz „przekonania biorą od swych przełożonych.'' Oni nie wznieśli się na wyżyny duchowego szlachectwa i nie pojmują, że „wolnomyślność znaczy tyle co moralność.'' Na tego wolnego człowieka chcą nałożyć kajdany stronnictwa, narzucić mu swoją wolę, a gdy on nie ugina wolnej szyi do łańcucha, bojkotują „wroga ludu'' i jego rodzinę.

Już sama kreacya Stockmana jest dziełem olbrzymiego talentu. A inne postacie nie ustępują w doskonałości rysunku. Powszechnie wiadomo, że Ibsen posiada w najwyższym stopniu tę pierwszorzędną zaletę dramatopisarską jaką jest przedstawienie całego człowieka w kilku rysach. Dla niego nie ma podrzędnych figur, które możnaby zbyć szkicowaniem. Stąd „Wróg ludu'' jak inne sztuki jego tchnie prawdą życiową, zdaje się szmatem rzeczywistości przeniesionej na scenę i oświetlanej blaskami potężnego, świetnego i śmiałego umysłu. Nie ma w sztukach jego ani słowa za wiele, nie ma sztafażu; lecz wszystko celowe. Siła intelektu bije z każdego zdania.

Niemniej wiadomo, że Ibsen uchodzi za mistrza w technice dramatycznej, na którym wzoruje się tylu a tylu pisarzy dla sceny jak n. p. Przybyszewski i z mniejszem powodzeniem Sudermann.

We „Wrogu ludu'' mamy jeden z społeczno-politycznych dramatów wielkiego pisarza — jednę z niewielu sztuk, które zalecić można do gruntownego poznania wszystkim czynnym obywatelom. Tem więcej żałować należy, że frekwencya tego wieczora była niewielką.

Tymczasem aktorzy dołożyli usilnych starań, aby „Wroga ludu'' zaprezentować jaknajlepiej. Rola tytułowa spoczywała w ręku pana Rygera, który grał ją z pietyzmem dla autora i przejęciem. Szkoda, że grał nerwowo, bez wewnętrznego spokoju, że mówił za prędko, wyrzucał z siebie zdania i zbytnio szafował swym organem, a wreszcie maskę miał nieodpo-

nie są zorganizowani, albo należą do organizacyi niemieckich. Do kartelu socyalistycznego należy tam około 15,000 polskich górnikw i hutnikóów, a do chrześciańskiego około 4000.

Sprawie Zjednoczenia poświęcimy artykuł w najbliższym czasie.

Upadek „Kuryera.“

„Kuryer Poznański“ po 33 latach istnienia przestał wychodzić, ponieważ „stosunki ukształtowały się tak, iż nie było można myśleć o dalszem jego wydawaniu.“ W języku zrozumiałym dla śmiertelnych znaczy to, że panu naczelnemu prezesowi „Kuryer,“ karcący księdza germanizatora tak się nie podobał, iż postarał się o skasowanie pisma. Dlatego też „Dzien. Berl.“ stwierdza, iż „upadek Kuryera“ jest w obecnym czasie znacznem zwycięstwem rządu, a dotkliwą stratą dla społeczeństwa, któremu ubywa przez to poważny warsztat myśli.“

Nie da się zaprzeczyć, że istotnie rząd odniósł zwycięstwo, że okazało się jak silnie i nieublaganie rząd przygniata swem kolanem władzę duchowną. Niemniej ubolewać trzeba nad tem, że „ubywa nam warsztat myśli,“ tem więcej, że dziś tylko jeden pod tym zaborem mamy organ, służący wyłącznie inteligencyi. Wobec tego zaś można przyjść do niewesołego przekonania, że inteligencya u nas zanika, a poziom istniejącej inteligencyi obniża się. Atoli na obronę Poznania, trzeba dodać, że ogół nasz odczuwa potrzebę jeszcze jednego organu codziennego dla sfer wyżej wykształconych.

Czy zwycięstwo rządu można nazwać znacznem, czy ogół nasz w „Kuryerze“ traci cenny i dodatnio działający warsztat myśli — bardzo wątpię.

Wprawdzie polskie duchowieństwo jest obecnie pozbawionem swego organu, lecz ujma to pozorna, bo w „Przewodniku Katolickim“ lub „Przyjacielu Ludu“ równie dobrze jak „Kuryerze“ można ogłaszać rozporządzenia władzy duchownej, dotyczące wyłącznie lub najwięcej kapłanów. Zresztą i inne gazety pomieszczają zwykle wszystko co wychodzi z kancelaryi arcybiskupiej. Po za tem, każdy polski duchowny może być pewnym, że ile razy zechce zabrać głos w sprawie publicznej, list jego znajdzie gościnność w prasie. Wreszcie, jeźli chodzi o obronę duchowieństwa polskiego, niezawodnie prasa nasza nie będzie troszczyła się o to, czy się to podoba p. Waldowowi czy nie, lecz stanie mężnie w obronie swoich. Ponieważ zaś „Kuryer“ nie był w ostatnich czasach organem arcybiskupim, więc wyspa tumska nie traci w nim swego sługi. Wprawdzie do końca liczono się w redakcyi „Kuryera,“ przynajmniej w niektórych kwestyach, ze stanowiskiem ks. Arcybiskupa, ale nie wątpię, że znajdzie się inne pismo, które ofiaruje władzy duchownej swe usługi za małą cenę, za cenę honoru, i pozwoli się inspirować z wyspy tumskiej.

Duchowieństwo nasze przeto nie ponosi ujmy przez ubytek „Kuryera;“ przeciwnie może — zyskuje. W „Kuryerze“ bowiem głosy jego były jawne i widoczne; pociągano je za nie do odpowiedzialności. Tymczasem teraz może snadnie schować się za plecy redaktorów, do których biura nikt niewołany nie wtargnie. Zwycięstwo tem p. Waldowa wydaje się z bliska pozornem i bardzo niepewnem. Dziś wszakże w tej materyi nie da się jeszcze zaopiniować stanowczo.

To pewna, że z upadkiem „Kuryera“ ogół nie traci cennego „warsztatu myśli.“ Z nowym rokiem wprawdzie zawiał inny, ożywczy duch z łamów „Kuryera.“ „Praca“ pierwsza podniosła to i jedyna zaakcentowała z należytem uznaniem. Jednakże po przeczytaniu ostatniego confiteor w pożegnalnym numerze „Kuryera“ przychodzimy do przekonania, że poszliśmy trochę za daleko. Bo w gruncie rzeczy „Kuryer“ pozostał czem był dawniej t. j. rozsadnikiem pojęć, które w społecznościach kulturalnych nie mają już dzisiaj kursu.

Niewątpliwie przy danej sposobności byłby ujawnil swe prawdziwe oblicze.

Chciałbym uronić łzę na grobie „Kuryera“ — chociażby dla tego, że w pewnej zasadniczej sprawie zmierzyłem się z nim nie na żarty — ale nie mogę opłakiwać pisma, które stało po stronie wszystkiego co wsteczne, co tchnie niewolą ducha i sumienia, co wrogie wolności i tak było zaporą w naturalnym rozwoju naszej społeczności. Jakoż *„Kuryer“ dawno się przeżył.* Dowodów na to nie brak, chociaż nie umarł zupełnie naturalną śmiercią. W rzeczy samej więc p. naczelny prezes wyświadczył mu tę przysługę, że uderzając weń, pozwolił mu ducha wy-

wiedunią. Pani Królikowska z niestósownej dla siebie roli Joanny wywiązała się poprawnie. Wdzięczną, sympatyczną Petrą była p. Maryewska, jednakże odnieśliśmy wrażenie, że nie zdawala sobie sprawy z charakteru Petry, bo nie uwypukliła grą jej siły przekonań. Trudne zadanie miał p. Wesołowski jako wódz demokratów. Opracował tę kreacyę bardzo sumiennie, grał jednolicie, wystawiając sobie pochlebne świadectwo, ale mojem zdaniem stworzył zbyt jaskrawo odskakującą od tła postać. Poniekąd odnosi się to także do p. Czerniaka, który maską, charakterystyką i wzięciem zanadto markował „plebejusza duchowego.“ Takich Thomsenów i wielkich ludzi w rodzaju burmistrza znamy wszyscy, nie mają oni jednak napisane na czole kim są, co kryją w zanadrzu. P. Dobrzański jako chciwy właściciel garbarni uniknął przesady. Pp. Prochaska i Dybizbański grali nieźle dziennikarzy. Wreszcie z uznaniem zapisać trzeba, że zespół był doskonały i wiec inscenizowanym tak, że nie uroniliśmy nic z ciekawej tej sceny.

Roman Rola.

* * *

Koncert Józefa Śliwińskiego.

Koncert był wspaniały. Program europejski: same wielkie kreacye muzyczne. Nazwiska takie jak: Mozart, Szubert, Szuman, Szopen, Liszt zapewniały z góry pierwszorzędną ucztę duchową — artystyczne zaś kwalifikacye koncertanta dopowiedziały reszty.

Rozbierać grę artysty w związku z poszczególnemi numerami programu (a było ich 10) prowadziłoby za daleko. Pragnęlibyśmy jednak dać ogólny pogląd na tę przedziwną organizacyę artystyczną, której na imie: Józef Sliwiński. Sliwiński to indywidualista par excellence, muzyk, który potrafi wycisnąć znamię swego charakteru artystycznego, swej odrębnej duchowości na utworach obcego geniuszu. Jest to talent nie tyle odtwórczy, co raczej współtwórczy. Czego się dotknie, to przetwarza i wydaje na zewnątrz, jakoby swą własność najistotniejszą, jakoby najgłębszą treść swej bogatej duszy. Dany utwór załamuje się wyraźnie, zdecydowanie, jasno w jego wnętrzu. On przetwarza tę muzykę i ucieleśnia ją, przesiewa ją przez pryzmat swego uczucia, uskrzydla bogactwem swej wyobraźni i oddaje to, co gra na niewidzialnych strunach jego harfy duchowej, za pomocą zdumiewającej techniki, olbrzymiej potęgi i tej błyskotliwości wykonania, która tylko pierwszorzędnych mistrzów jest udziałem. Temperament zaś żywy, ruchliwy, ognisty dokonuje reszty.

Można się sprzeczać z artystą co do interpretacyi niektórych rzeczy n. p. co do Rondo Mozarta lub Scherzo-Szopena. D'Albert, Paderewski, Karenio

zionąć chlubnie — w boju z niemczyzną.

Zważywszy wsteczne pojęcia, jakim służył „Kuryer", można powiedzieć, że z jego upadkiem odwraca się karta w umysłowem życiu Poznania, otwiera się pole dla organu patrzącego w przyszłość.

W ostatniej chwili nieboszczyk poczuł w sobie zapał wojowniczy, chwycił za broń obosieczną i zakończył żywot — fajerwerkiem.

Dawniej drapując się w togę katonowskiej powagi lub kapłański ornat hamował swe krewkie porywy, lecz w końcu dosiadł konika i pofolgował sobie jak żak na wakacyach. „Bajka, zupełna bajka" — pomieszczona w odcinku pożegnalnego numeru — zelektryzowała umysły Poznańczan w wysokim stopniu, jak zwykle wszystko co pachnie osobistą waśnią i sensacyą. W chudym lwie i starym ośle, który w asyście swego osiełka kopie umierającego rywala, dopatrzono się przejrzystej alegoryi; nikt nie uwierzył, aby bajka była „zupełną," ponazywano lwa, osła i osiełka właściwemi mianami i — gaudium było ogólne. Bajka z literackiego punktu widzenia nie świetna, lecz dosyć dowcipna, ubawiła nietylko galeryą, lecz nawet prasę. „Orędownik" ucieszył się serdecznie ciosem wymierzonym przeciwnikowi, „Goniec" zacierał ręce i snuł przypuszczenia, że osieł ukuł intrygę na lwa i spowodował śmierć konkurenta. Jak na postne czasy — uśmiano się niezgorzej.

Dobrze, że ludziska jeszcze śmiać się umieją w tych ciężkich czasach, ale źle, że śmieszy ich zwykle to, co nosi w sobie zarodek osobistej niechęci, jakiejś brzydkiej zawiści oraz ma cechy bardzo nizkiego poziomu etycznego. Nie stajemy w obronie „Dziennika;" grzechy jego są rozliczne i ciężkie, lecz z tego nie wynika, aby „Kuryer" był królem i lwem pomiędzy naszemi gazetami. Jeźli miał do „Dziennika" jakie żale, trzeba było zstąpić z koturnu we właściwym czasie i jak Pan Bóg przykazał przemówić do bliźniego, do kolegi. Tymczasem tchórzliwy lew chował się za puklerz milczenia, a przysięgał w duszy zemstę rywalowi, aby na pożegnanie bryznąć jadem, poczęstować zostającego na placu przeciwnika gradem szpetnych epitetów.

Jeżeli spojrzymy na to z pewnej perspektywy — przedstawi się cała ta farsa *marnie*. Ani takie bajki, ani przemycanie akrostyków nie powinno uchodzić płazem, jak nie uchodziłoby w społeczeństwie stojącem na pewnej wyżynie kultury duchowej i w publicystyce, która *szanuje sama siebie*. Prasa poznańska gorszyła się swego czasu rewolwerowym tonem polskich gazet amerykańskich, ubolewa nad wstrętnemi swarami gazeciarskiemi w Westfalii, nawołuje do zgody pomiędzy dziennikami na Górnym Śląsku w imię wspólnej naszej sprawy, atoli sama, zamiast przodować, czyha tylko na to, by przypiąć łatkę sąsiadowi, kopnąć go, oczernić i nie widzi, że i tu inny ton powinien panować w gazetach — dla dobra ogółu. Jeźli bowiem gazety mają wychowywać ogół należycie w duchu kulturalnym, podnosić go moralnie, nie wolno im tarzać się w błocie małostkowych, zakulisowych czy kuchennych spraw. Zresztą kto szanuje siebie, umie także uszanować innych. Wtedy dopiero wolno nam wymagać poszanowania od innych. U nas zaś wymaga się od innych nietylko poważania lecz czołobitności dla własnego urojonego autorytetu, a natomiast obrażając się o lada co, wymyśla lub kluje szpilkami, nie gardząc nawet plotką.

Czy w prasie obcej zachodzą tego rodzaju „kawały?" Czy czytaliśmy w tutejszych pismach niemieckich coś podobnego jak ta bajka? Co pomyślą sobie o nas hakatyści? Czy zbudują się chudym lwem, którego ryku nikt się nie lęka, osłem i oślątkiem, *kulturą i etyką* prasy naszej?

Może nie byłoby od rzeczy, gdybyśmy zastanowili się nad tym charakterystycznym, zjawiskowym wyskokiem dowcipu kuryerowego. A prasie naszej nie zaszkodziłoby może przypomnieć, że żurnalista winien widnokrąg czytelnika rozprzestrzeniać a nie zacieśniać go i zamykać w ramach zaściankowych, a nadto, patrząc w życie z pewnej wyżyny duchowej rozsiewać po wszystkiem czego się dotknie żywe blaski swego umysłu. *Quis.*

Wojna.

Sytuacya na polu walki w ubiegłym tygodniu w niczem się nie zmie-

---

graliby je może inaczej, czyby je grali lepiej — to wielkie pytanie. Szopen z pewnością inaczej grał swą wspaniałą Sonatę Bmoll, bo nie miał po prostu siły, jaką rozporządza Śliwiński, ale zapewne zgodził by się na nią w jego interpretacyi. Stoimy zupełnie po stronie artysty. Fortepianista bowiem nie jest niewolnikiem kompozytora. On go nie kopiuje, lecz odtwarza, co ten niezatartemi znakami utrwalił na papierze, odtwarza także to, co się temi znakami wypowiedzieć nie da, a co kongenjalny umysł wyczuć musi, odgadnąć intuicyjnie lub wyspekulować. Zadanie artysty odtwarzającego polega na tem, aby wniknął w ducha mniej kompozytora — jak kompozycyi, aby przedewszystkiem oddał ją *pięknie* — a wcale nie jest wykluczonem, że genialny odtwórca odsłoni kompozytorowi samemu całą — jemu samemu może nieznaną nawet — piękność jego własnego utworu.

Ten otóż talent dywinacyjny posiada Śliwiński w wysokim stopniu i świetne dał tego posiadania dowody w reprodukcyach Sonaty Szumana, oraz wyż wspomnianej Sonaty Szopena. Marsz żałobny, może część jej najpiękniejsza, ów znany, tyle przez barbarzyńskich grajków na rozlicznych pogrzebach profanowany marsz, ta przecudowna pieśń, przerywana spiżowemi jękami rozkołysanych dzwonów, (którą lepiej od Ujejskiego zamknął w słowach Wyspiański), pieśń grobowego smutku już nie nad człowiekiem, który zmarł, ani nad bohaterem poległym na placu boju, lecz nad całym pokonanym a bohaterskim narodem — ten marsz znalazł w Śliwińskim genialnego interpretatora. Wspaniały i groźny, to znów słodki i pełen nadziei w swej melodyjnej części, jako całość smutny aż do śmierci, takim dał nam go Śliwiński i takim go też chciał mieć kompozytor.

Kilka rzeczy Liszta, pełne łamańców palcowych, najeżone szalonemi trudnościami technicznemi, grał artysta z nadzwyczajną brawurą i wytworną dystynkcyą. Tak n. p. ów dyaboliczny walec Mefista, po którym oklaskom nie było końca. Gretchen am Spinnrade Szuberta w transskrypcyi Liszta, rzecz bajecznie trudna o przepięknej melodyjnej podkładce zajaśniała w wykonaniu artysty całym swoim blaskiem i poezyą.

O technice Śliwińskiego mówić — to rzecz prawie zbyteczna. Kto go raz słyszał wie, że jest fenomenalną. Nie wiedzieć co więcej podziwiać uderzenie czy słodycz kantyleny, lekkość staccata czy płynność ligatów, błyskotliwość trelu czy nieskażoną czystość i melodyjność tonu, mistrzowstwo, z jakiem włada pedałem czy potęgę fortissima lub bajeczną dyskrecyę pianissima. Wszystko jest wielkie i skończone. Pasaże, oktawy, wszelkie ozdobniki, siła, biegłość słowem wszystko, co tworzy techniczny aparat wirtuoza jest u Śliwińskiego na najwyższym stopniu artyzmu.

Niestety sala nie była tak zapełnioną, jakby się tego było trzeba spodziewać. Entuzyazm za to był niebywały — frenetyczne oklaski zrywały się po każdym numerze programu. *A—dur.*

niła. Armie rosyjskie doszły już w swoim odwrocie do tej części Mandżuryi, którą przepływa w górnym swoim biegu rzeka *Sungari*. Przednie straże japońskie postępują krok w krok za niemi i staczają codziennie niemal drobne utarczki z zasłaniającą odwrót rosyjską konnicą. Pogłoski o rzekomem obejściu obu skrzydeł rosyjskich przez silne armie japońskie dotychczas nie przybrały formy pewniejszej, a także wieści o zamierzonej jakoby przez Japonię wyprawie na wyspę *Sachalin* i pod *Władywostok* wymagają jeszcze potwierdzenia. Także na morzu nie przyszło jeszcze do spodziewanego starcia między obustronnemi flotami, a w chwili, gdy to piszemy, nie wiadomo nawet gdzie się znajdują?

Tymczasem wieści o jakoby już nawiązanych rokowaniach pokojowych nie milkną ani na chwilę. Z Petersburga zaprzeczają stanowczo każdej takiej wieści, lecz to nie przeszkadza, że nazajutrz ni ztąd ni zowąd pojawiają się nowe. Doniesienia o zamierzonej jakoby dalszej mobilizacyi w Rosyi nie znajdują wiary. Wszystko przemawia za tem, że rząd rosyjski dotychczas jeszcze się nie zdecydował na wprowadzenie w czyn tej mobilizacyi, rzekomo już przez cara postanowionej a nawet podpisanej. Rosyjskie sfery rządowe czują widocznie dobrze, że byłby to hazard, który mógłby przyspieszyć wybuch nowych rewolucyjnych rozruchów.

Jak ogromne wysiłki i ofiary nałożyła już ta wojna na *Rosyę* — to wykazuje zestawienie, jakie wygłosiło pismo petersburskie „Ruskij Inwalid". Zestawienie to nie może być przesadne, gdyż w takim razie cenzura nie byłaby go przepuściła. „Ruskij Inwalid" pisze: Od początku operacyi wojennych aż do 27 lutego rb. wysłano do Charbina koleją syberyjską: 13037 oficerów, 761,000 szeregowców, 146,400 koni i 1521 dział, obok blizko 20 milionów pudów rozmaitych zapasów. Doliczywszy do tego conajmniej 25,000 posiłków, które wysłano po 27-ym b. m. i mniej więcej 100,000 wojsk, które już przed wojną stały w Mandżuryi, w Porcie Artura i we Władywostoku, otrzymamy olbrzymią cyfrę 900,000 ludzi, 150,000 koni i 1800 dział. Nowoczesne dzieje wojenne jeden tylko wykazują przykład nagromadzenia podobnie olbrzymiej siły, a mianowicie wojnę francuzko-niemiecką, w której Niemcy wystawiły razem armię w sile 1,100,000 zbrojnych. Ilu z tych 900,000 żołnierzy rosyjskich, wysłanych dotychczas na wojnę, jest dziś jeszcze zdolnych do dalszych operacyi wojennych, trudno obliczyć z braku dokładnych wykazów strat, poniesionych przez armie rosyjskie w dotychczasowych bitwach. Biorąc jednakże w rachubę materyał liczbowy, jaki już został ogłoszony, osiągniemy następujący rezultat: Straty rosyjskie w poległych rannych i wziętych do niewoli wynosiły: nad rzeką *Jalu* 3000 ludzi; pod *Wafanku* 4000, pod *Liaojangiem* 26000, nad rzeką *Szah* 44000, w *Porcie Artura* 55000; nad rzeką *Hun* 15,000 pod *Mukdenem* 120,000, pod *Tielinem* 2000, w innych mniejszych starciach i potyczkach razem 10,000. Ogółem tedy straciła Rosya dotychczas na polu walki *280,000 ludzi*, (z których około 80,000 znajduje się w niewoli japońskiej.—przyp. kronikarza). Liczba *chorych*, którzy wrócili z *Mandżuryi*, wynosić może około 100,000, a w lazaretach mandżurskich znajdować się ich może mniej więcej 30,000. Razem z poprzednią liczbą przyjąć więc można ubytek sił rosyjskich w Mandżuryi na 410,000 — czyli że z owych 900,000 naczelny wódz na polu walki miałby jeszcze do dyspozycyi około półmiliona zbrojnych zdolnych do dalszej walki. Ponieważ atoli z tej liczby około 100,000 jest jeszcze w drodze, lub strzedz musi kolei żelaznej, a 50,000 znajduje się w *Władywostoku* wynosić może siła armii pod dowództwem generała Liniewicza około 330,000 zbrojnych.

Liczby te dowodzą, jak bardzo ta nieszczęsna, dla Rosyi zupełnie zbyteczna wojna osłabiła państwo i naród rosyjski, ku ogromnej radości *Niemiec*, którzy dotychczas procz Boga — *także Rosyi się bali*.

A w tej olbrzymiej cyfrze strat rosyjskich mieści się 1000 *oficerów* i 30,000 *żołnierzy polskich*... Już za tyle krwi polskiej przelanej w sprawie rosyjskiej, rząd carski powinien chociaż drobnemi ulgami odwdzięczyć się narodowi polskiemu.

A dziwić się nie można, **jeżli naród** rosyjski coraz głośniej **domaga się pokoju...** ***Lector.***



Tydzień polityczny.

Wizyta cesarza Wilhelma w Tangerze stała się rzeczywiście wypadkiem politycznym pierwszorzędnego znaczenia. Sam pobyt cesarza w tem mieście marokańskiem nie odbył się wprawdzie ściśle według z góry ułożonego programu. Przeszkodziło temu podobno zbytnie wzburzenie morza, które opóźniło wylądowanie dostojnego gościa o blisko cztery godziny. Lecz mniejsza o powód, dość że cesarz zabawił na lądzie tylko 2 godziny i że wskutek tego odpadła z programu niejedna owacya, jaką mu Marokańczycy zgotować zamierzali.

Przebieg tej wizyty sprawdził najzupełniej, co o niej głoszono. Cesarz wypowiedział tam kilka mów, do reprezentantów sułtana, do kolonii niemieckiej, do innych, którzy go witali, a we wszystkich kładł nacisk na to, że uważa Marokko za zupełnie niezależne państwo i że w niem nie uznaje żadnej innej władzy, prócz władzy sułtańskiej. Do kolonii niemieckiej powiedział nawet, że przybył do Tangeru umyślnie w tym celu, ażeby stwierdzić przed światem, że Niemcy uważają się tu za zupełnie *równouprawnionych ze* wszystkiemi innemi państwami, że interesów swoich strzedz będą i że nie pozwolą na to, ażeby jakiekolwiek inne państwo rościło sobie w Marokku pretensye do pierwszeństwa. Wyraźniej już chyba celu tej wizyty określić nie było można i podobnej treści komentarze prasy niemieckiej były już zupełnie zbyteczne.

Brzmiały one na pozór butnie i zdradzały wielką pewność siebie. Kto jednak wczytał się w nie głębiej, dostrzedz musiał, że pod tą pewnością siebie kryło się niemałe *zakłopotanie* — które i dziś jeszcze przebija się dość wyraźnie z głosów prasy niemieckiej. Jest ono też rzeczywiście zupełnie uzasadnione. W Niemczech liczono bowiem na to, że będzie to sprawa wyłącznie z *Francyą*, że dziś, gdy Rosya zaangażowana jest w Azyi i potrzebuje pomocy finansowej ze strony Niemiec, Francya będzie zupełnie odosobnioną, że Anglia bynajmniej nie ujmie się za nią. Tymczasem stało się inaczej. Nietylko rząd angielski lecz także cała **opinia publiczna w Anglii stanęła po stronie Francyi.** Poseł angielski **w Tangerze** otrzymał polecenie, ażeby we wszystkiem **solidaryzował się z posłem francuzkim.** W prasie angielskiej **odezwały się bardzo ostre** i stanowcze **głosy przeciwko tej „prowokacyi" ze strony Niemiec.** Główną zaś **odpowiedzią na wizytę cesarza w Tangerze będzie zapowiedziana już wizyta króla angielskiego Edwarda w Paryżu i aż dwukrotny zjazd angielskiej i francuzkiej floty w obustronnych portach wojennych...**

Co się zaś tyczy stanowiska, jakie **zajął rząd francuski w tej sprawie, to rzeczywiście obudza ono ogólny podziw. Francuzki minister spraw zagranicznych Delcasse zachował praw-**

dziwie dyplomatyczny spokój, nie reagował na prowokacye prasy niemieckiej, nie wystąpił z protestem przeciwko pretensyom Niemiec, lecz sucho i krótko w senacie francuzkim zaznaczył, że wizyta cesarza Wilhelma w niczem nie zmienia stanowiska Francyi w Marokku. I zdaje się, że właśnie ten spokój Francyi napełnia niepokojem prasę niemiecką. Dowodzi on w każdym razie, że Francya, mając za sobą Anglię, niczego się nie obawia — nasuwa zaś przypuszczenie, że oba te państwa dobrze się już porozumiały, w jaki sposób przeciwdziałać będą nowym tym dążeniom polityki niemieckiej. Co z tego wyniknie, trudno dziś przewidzieć, to pewne tylko, że Niemcy napotkają teraz w polityce zagranicznej na niejedną przeszkodę, a kto wie, czy tej swojej akcyi marokańskiej nie odpokutują jeszcze na innem polu. Najgorzej na tem wyjdzie zapewne sułtan marokański — na nim i na jego państwie ten zatarg między mocarstwami najdotkliwiej zapewnie się odbije.

W koncercie europejskim nowa bądź, co bądź wytworzyła się konstelacya, która może pociągnąć za sobą ważne następstwa.

W *Rosyi*, prócz nowych zamachów na przedstawicieli władz, których widownią po części było *Królestwo polskie*, żadna ważniejsza w ubiegłym tygodniu nie zaszła zmiana. W Petersburgu policja wpadła na trop szeroko rozgałęzionego spisku rewolucyjno-terorystycznego i aresztowała mnóstwo uczestników tego spisku. Być może, że to na chwilę zabezpieczy życie wybitnych reprezentantów absolutyzmu, lecz ruchu obecnego nie przytłumi. Przeciwnie, wrzenie ogarnia coraz szersze koła narodu a wzrasta bezustannie. Rząd sam potęguje ogólne rozdrażnienie przewlekając w dziwnem zaślepieniu akcyę reform wewnętrznych. Tak np. owo carskie postanowienie zwołania „soboru ziemskiego“ zakrawa coraz bardziej na farsę. Jeden z dzienników rosyjskich oblicza, że jeżli wyznaczona w tym celu komisya dalej pracować będzie w dotychczasowem tempie, sobor zbierze się w najlepszym razie chyba za *półtora roku*. Taki przeciąg czasu jest tylko chwilką w życiu narodów, ale zbyt długi dla narodu, wzburzonego do najwyższego stopnia i doprowadzonego już niemal do rozpaczy. Obawiać się też trzeba, że nie będzie on tak długo czekał na reprezentacyę konstytucyjną, lecz, że rychlej zażąda jej w sposób gwałtowny, rewolucyjny...

Do ogólnego tam rozstroju przyczynia się niemało *niepewność* w sprawie wojny *wschodnio-azyatyckiej*. Nikt nie wie, czy rząd skłonny jest do zawarcia pokoju, czy też dalej chce toczyć tę straszną wojnę? A i to przecież jest dla narodu rosyjskiego kwestya ogromnej wagi. Dziś zwłaszcza, gdy na półwyspie bałkańskim odżyła w całej pełni *kwestya bałkańska*, Rosya powinna skupić wszystkie swe siły i całą swoją uwagę w Europie. Uznał to podobno także rosyjski minister spraw zagranicznych hr. *Lambsdorf* i w osobnym memoryale usiłował przekonać cara, że rychły pokój z Japonią jest dla Rosyi koniecznością polityczną. Cóż kiedy partya wojenna zawsze jeszcze ma wielki wpływ na cara i krzyżuje wpływy rozważnych zwolenników zawarcia pokoju.

Na *Węgrzech* zamiar załatwienia przesilenia drogą kompromisu rozbił się ponownie. Sytuacya jest tam tak samo niepewna, jak była dotychczas, a tem samem niepewną jest także cała sytuacya monarchii *Habsburgów*.

Włochy od dni kilku mają nowy gabinet pod przewodnictwem senatora *Fortisa*. *O. M.*

Przegląd prasy.

Z ewentualną okupacyą Królestwa Polskiego przez Prusaków liczą się i muszą liczyć wszyscy polscy politycy. Nie jest prawdopodobnem, aby do tego przyszło. Mimo to jest to kwestya, która musi zaprzątać umysły polityków. W ostatnim *„Przeglądzie wszechpolskim“* poświęca jej kilka uwag p. I. L. Popławski, tak pisząc:

„Rządy pruskie byłyby niewątpliwie bardziej cywilizowane w porównaniu z rosyjskiemi. Ale interes narodowy polega nietylko na uzyskaniu bardziej cywilizowanego systemu rządzenia. Osiągnięcie jedności narodowej jest najważniejszą naszą sprawą, najpierwszem zadaniem naszej polityki. Prawda, że i obecnie jesteśmy rozdzieleni pomiędzy trzy państwa, ale jest nas pod rządem rosyjskim około 12 milionów, siedzących zwartą masą w Królestwie i ogarniających swymi wpływami, swoją kulturą 9 gubernii zabranych. Zarówno ze względu na liczbę ludności, jak na rozległość terytoryalną, ziemie polskie pod panowaniem rosyjskiem przedstawiają siłę poważną. Ta siła nietylko pozwala nam liczyć przy zmianie stosunków politycznych w państwie rosyjskiem na uzyskanie i utrwalenie pewnej samodzielności, ale *i na skupienie się z czasem przy tej dzielnicy zaborów pruskiego i austryackiego.*

„Przyłączenie części Królestwa do Prus i ewentualnie nawet części do Austryi, *byłoby straszną dla nas klęską, któraby jeżeli nie uniemożliwiła, to znacznie utrudniła zdobycie jedności narodowej. Ten nowy rozbiór Polski byłby bodaj wyrokiem zagłady dla naszego żywiołu, dla naszej sprawy w krajach zabranych.* Żadne możliwe zyski nie okupiłyby tej straty. Bo co to za zysk, że zamiast 14—15 posłów w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim, mielibyśmy 40 lub 50 na 400 z górą? Nawet znaczne ulgi dla ludności polskiej w zaborze pruskim i korzystne warunki rozwoju narodowego dla przyłączonej do Galicyi części Królestwa, nie wynagrodziłyby nam opóźnienia i utrudnienia zdobycia jedności narodowej, ani szkód dla sprawy polskiej na Litwie i Rusi, ani niewątpliwej ruiny ekonomicznej najzamożniejszej dziś dzielnicy.“

Nie ma bodaj dwóch zdań, że zajęcie Królestwa lub części Królestwa przez Niemcy byłoby straszną dla nas klęską. Tylko ludzie co nie znają naszych najserdeczniejszych mogą utrzymywać, że byłoby to dla Królestwa korzystnem.

W sprawie *języka polskiego w szkole w Królestwie Polskiem* car wydał reskrypt, wystósowany do jen. gubernatora Maksymowicza, w którym przyznaje, iż „w kraju przywiślańskim (!) pojawił się cały szereg potrzeb.“

„Usiłowania — czytamy dalej — dążące do wywołania zamieszek, przeszkodziły (?) spokojnemu rozważeniu potrzeb. Równocześnie pewne grupy społeczeństwa polskiego wystąpiły z uroszczeniami *idącemi zbyt daleko co do ograniczeń w zastosowaniu języka państwowego*, któremu musi być zapewnione znaczenie *wysokie*, atoli bez zbytecznego i niesprawiedliwego ucisku języka *miejscowego* (?) Dla tego upoważnia cesarz gubernatora, aby stłumił równocześnie wywołane sztucznie zamieszki, przyczem należy mu postąpić *energicznie*, ale z uwzględnieniem praw obowiązujących a następnie, aby *przystąpił do wypracowania reform uznanych za konieczne dla rozwoju ziem* nierozdzielnie z innemi częściami państwa rosyjskiego połączonych“.

Reskrypt ten niekorzystne robi wrażenie i zdradza, że rząd cofa się nieco ze stanowiska zajętego poprzednio w sprawie języka polskiego.

Mimo to *„Nowoje Wremia“* sądzi, że reskrypt wpłynie na uspokojenie umysłów większej części ludności polskiej i pisze:

„Sprawa dopuszczenia języka polskiego w zakładach szkolnych postawiona jest na gruncie praktycznym. Dobrze myśląca część społeczeństwa polskiego powinna zrozumieć, że w całem państwie może być tylko jeden język państwowy, dlatego wymagania zamiany języka rosyjskiego na polski są nad-

mierne, a na samo wyrażenie tych wymagań można patrzeć tylko, jak na chęć siania waśni między ludnością polską a rosyjską."

O reskrypcie tym piszą z Wiednia do *„Głosu Narodu:"*

„Przyobiecane reformy są nieznaczne. Zresztą obietnice w tym kierunku zredagowano mglisto; nie można na nich nic trwałego budować.

„Obietnice reform są tak banalne, jak wogóle banalnemi były poprzednie obietnice, podpisywane w Carskiem Siole przez Mikolaja II. Wieje z nich obłuda. Z góry robią wrażenie już nie obietnic, ale obiecanek, mających na celu zyskanie na czasie. Reskrypt cesarza rosyjskiego pod adresem jenerał-gubernatora Warszawskiego dowodzi, że w Petersburgu wciąż jeszcze istnieje skłonność do represji i że góruje ona nad zamiarem przeprowadzenia istotnych reform.

„Reskrypt Mikołaja II, zapewne pozostanie makulaturą, jak wiele innych reskryptów dziada i ojca, lecz głosy prasy wiedeńskiej, inspirowanej przez hakatystów pruskich, pouczają wyraźnie, że „sól narodów"—jak nazwał cesarz niem. w Bremie Niemców — reformy w Królestwie Polskiem poczytuje za silną przeszkodę do osiągnięcia „panowania nad narodami ziemi."

Wywody nasze w artykule: „Dobrali się" w num. 14-tym „Pracy" potwierdza zupełnie *„Głos Narodu,"* pisząc:

„Rzeczywiście, nie ulega wątpliwości, że włościanie ruscy wędrują do Niemiec nie z istotnej potrzeby, ale wskutek potwornego aljansu, zawartego pomiędzy prowodyrami ruskimi a niemieckimi hakatystami. Połączyły się tam dwie nienawiści, aby wspólnemi siłami zadać cios polskiemu społeczeństwu. Rusini chcą pozbawić ziemian polskich sił roboczych, — hakatyści pragną wytworzyć polskim robotnikom groźną konkurencję, i przy pomocy Rusinów zapobiedz dalszemu „polszczeniu" niemieckiej ojczyzny...

„Powstały zatem formalne ajencje rusko-niemiecko-żydowskie, — bo gdzie tylko powstaje jakaś akcja, przeciwko Polakom skierowana, tam żydzi być muszą, — i — co jest najbardziej gorszącem, — księża uniccy nakłaniają swoich parafjan do opuszczania ziemi ojczystej, wydając nieporadnego i ciemnego włościanina ruskiego na łup żydowsko-niemieckiego wyzysku i brutalnej swywoli."

Czemu są winni Polacy? Według hakaty wszystkiemu złemu. Stwierdza to centrowa *„Koeln Volksztg."* pisząc:

„Łagodzącą okolicznością rewolucji berlińskiej, z r. 1848 nazwał hr. Buelow w parlamencie niemieckim fakt, że „Berlińczycy nie chcieli się wówczas oderwać od państwa pruskiego." Co prawda, byłoby to połączone z niemałą trudnością natury geograficznej. Nawet z księstwem Reuss linji starszej nie byłoby łatwo połączyć się Berlińczykom. „Voss. Ztg.", „Berl. Ztg." i „Volksztg." protestują tak gwałtownie przeciw twierdzeniu kanclerza, iż ówczesna rewolucja była wywołana przez Polaków. „Voss. Ztg." pisze, że „jest to wynalazek polityków reakcyjnych". Co prawda, niejednokrotnie już podnoszono to twierdzenie ze strony konserwatystów, aczkolwiek nikt go jeszcze nie zdołał udowodnić. Dziś, gdy na Polaków zrzuca się odpowiedzialność za wszystko złe, co się dzieje w państwie niemieckiem, nie można się dziwić podobnym twierdzeniom. Historycy hakatystyczni wynajdą jeszcze, że Francuzi pod Jeną w r. 1806 byli kierowani przez Polaków. Patrjota niemiecki z r. 1905 egzaltuje się dla Amerykanów, Anglików i Rosjan, nie obawia się też niczyjej potęgi, ale stoi wiernie przy maksymie hakatystów: „My, Niemcy, boimy się tylko Polaka, a poza tem nikogo w całym świecie."

„Koło polskie parlamentarne w rozbiciu." Pod tym tytułem pisze *„Gazeta Toruńska:"*

„Na posiedzeniu czwartkowem było w parlamencie głosowanie nad wnioskiem niemieckiego agraryusza hr. Kanitza. Wniosek ten zmierzał do podrożenia chleba jeszcze przed zaprowadzeniem nowej taryfy cłowej. Posłowie polscy w myśl ostatnich uchwał, według których Koło w sprawie ceł wstrzymać się miało od głosowania, o ile głosy polskie nie będą potrzebne do obalenia projektów agrarnych, usunęli się od głosowania. Poseł hrabia Mielżyński, członek komisyi parlamentarnej, który nie mógł opuścić posiedzenia, znajdując się w służbie jako sekretarz parlamentu, głosował przeciw wnioskowi Kanitza. Jeden tylko poseł, ks. dr. Jaździewski, głosował razem z konserwatystami, narodowymi liberałami i centrowcami za wnioskiem agrarnym.

„W ten sposób Koło polskie w parlamencie niemieckim po raz pierwszy od swego powstania znalazło się w rozbiciu. — Mimo pomocy księdza Jaździewskiego wniosek upadł, ponieważ okazało się, że w Izbie nie było kompletu."

„Goniec Wielkopolski" dorzuca:

„Takie zerwanie solidarności ze strony ks. prałata Jaździewskiego należy stanowczo potępić. Zobaczymy, czy rzekomi stróże solidarności Koła w rodzaju „Dz. Pozn." uczynią to, czy uczyni to pobłażliwy dla ks. prałata J. „Orędownik."

Na ostrzu miecza stawia tę sprawę *„Lech:"*

„Występami swojemi, jak niektóre mowy jego, ściskanie rąk hr. Buelowowi itp. ks. prałat Jaździewski kompromituje nie tylko siebie, ale całe **społeczeństwo, które ze wzgardą od** dość dawnego czasu słucha jego ultralojalnych wynurzeń. Mamy dlań wszelki szacunek jako dla człowieka, ale na arenie parlamentarnej stanowczo on się przeżył i dla tego powtarzamy tylko ogólne pragnienie, prosząc ks. dr. Jaździewskiego, aby mandat swój złożył."

W „Orędowniku" ubolewa pewien rodak z *Westfalii* nad wojną domową pomiędzy *„Wiarusem"* a *„Dzien. Polskim."* O stosunkach tamtejszych pisze z ubolewaniem:

„Prywaty, swary i kłótnie osobiste dotychczasowych prowodyrów narodowego ruchu na obczyźnie, brak ludzi, którzyby nieśli kaganiec oświaty, tam, gdzie się okazuje potrzeba, krzykactwo, oto rezultat z działalności prowodyrów robotniczych warstw w westfalsko-nadreńskim okręgu przemysłowym."

Streściwszy przebieg swarów dziennikarskich korespondent kończy temi słowy:

„Jeżeli p. Brejski aż do pojawienia się „Dziennika Polskiego" dobrem publicznem się kierował, jeżeli wiernie pracował dla narodowej sprawy, położył wielkie zasługi około ogólnego dobra. Dziś zasługi jego w dwójnasób by się powiększyły, gdyby z zaparciem się siebie, z wyrzeczeniem się dobra własnego — podał rękę p. Żnińskiemu do zgody — i aby wspólnie dla dobra rodaków na obczyźnie pracowali. Tego koniecznie wymaga sprawa narodowa i interes publiczny."

Czas położyć kres waśniom, które demoralizujący wpływ muszą wywierać na wychodźców. Bardzo słusznie mówi *„Bezstronny"* korespondent:

„Mówi się tak wiele o wspólnej pracy, o zestrzeleniu ducha, myśli w jedno ognisko, lecz nie jest to jeszcze ni zasługą, ni cnotą. *Trzeba świecić przykładami!* Trzeba nieraz przełamać swoje interesa, zaprzeć się siebie, a dobrem ogółu się kierować."

Redakcya.



Wiece agitacyjne

z poręki Komitetu Politycznego odbędą się: dnia *30-go kwietnia w Königs-Wusterhausen, a 21-go maja w Złokomorowie* (Senftenberg) na Łużycach.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 15-go „Pracy.“

Hakatyzm w wojsku.

Mowa posła hr. Mielżyńskiego, wypowiedziana w parlamencie niemieckim dnia 22-go marca roku 1905 przy obradach nad etatem wojskowym.

M. p., przeciw nam Polakom niedawno podniesiono tu zarzut, że w tej izbie przemawiamy zawsze tak ostro. Zapewniam pana ministra wojny, że w obec niego nie zastosuję ostrego tonu: bo, chociaż niejedno zarządzenie rządu, a mianowicie też niejedna odpowiedź, którą tu słyszymy, mogą i najspokojniejszych ludzi wywieść z równowagi, skoro krew nie woda płynie w ich żyłach, to jednak zachowujemy spokój tam, gdzie nie przypuszczamy wprost złej woli. Wprawdzie po odpowiedzi, jaką mi dał minister wojny w zeszłym roku, sądzę, że my obydwaj nie możemy się zgodzić w zapatrywaniach politycznych. W każdym razie spodziewam się, że pan minister wojny przy odpowiedzi na moje wywody nie pójdzie za przykładem swoich kolegów, którzy w obec Polaków zajmują stanowisko: nihil concedere, negare audacter.

Teraz przystępuję do właściwego tematu mojej mowy. Nasamprzód chciałbym poruszyć bardzo ważną sprawę poniewierania żołnierzy. Nas Polaków obchodzi ona nie tylko z ogólnie ludzkiego punktu widzenia, lecz także dla tego, że setki Polaków są w wojsku i również doznają poniewierania. Choćby kto jak najobjektywniej tę sprawę omawiał, choćby się strzegł uogólnienia poszczególnych przykładów, chociażby się liczył z wielką przesadą, nieuniknioną przy temacie tak podniecającym, to jednak nie mógłby stłumić przekonania, że tu chodzi o wielkie zło, przeciw któremu trzeba walczyć ze wszystkich sił.

Wczoraj i dziś różni panowie omawiali tę sprawę i przedkładali rządowi wiele bardzo godnych uwagi propozycyi. Nie będę mówił o reformie sądownictwa wojskowego, którą już dostatecznie omawiano przy rezolucyi.

Potem podniesiono, że należy naprawić położenie podoficerów, należy ich lepiej wykształcić i także polepszyć ich stosunki finansowe podczas służby wojskowej i po służbie, aby więcej się zainteresowali służbą i aby korpus podoficerski nie składał się z żywiołów mniej wartościowych, z osobników charakteru wątpliwego, którzy nie są zdolni do spełnienia trudnego zadania, i którzy co chwilę dopuszczają się nieprawidłowości i przekroczeń w obchodzeniu się z żołnierzami. Zgadzam się zupełnie na odnośne życzenia, ale ich spełnienie nie wystarczyłoby jeszcze. Nie naprawiłaby też położenia wczorajsza propozycya ministra wojny, aby mieszkania podoficerów były odłączone od kwater szeregowców: bo natenczas musiałby na kwaterze szeregowców starszy z pomiędzy nich objąć funkcye podoficera, gdyż nie można szeregowców pozostawić bez przełożonego, i mielibyśmy w takim razie to samo, co dotychczas. Mojem zdaniem winni oficerowie wiele ściślejszą wykonywać kontrolę z powodu takich nieprawidłowości, zachodzących wśród podoficerów, którzy nie dorośli swoim zadaniom. Rozumie się, że przypuszczam, iż oficer nie poniewiera żołnierzy. Przypadki poniewierania ze strony oficerów są też bardzo rzadkie i sporadyczne.

Mości panowie, jeżeli wychodzą na jaw ukrywane przez całe miesiące przypadki różnego rodzaju poniewierania żołnierzy na kwaterze, to pytać się trzeba, czy oficerowie tak strasznie rzadko rewidują kwatery? Czyż oficerowie nie pamiętają o tem, że powinni na każdym kroku wykonywać jak najściślejszą kontrolę, a nie spuszczać się na podoficerów? Nie twierdzę bynajmniej, iżby większa część oficerów pod tym względem zaniedbywała swoje obowiązki, ale nie dosyć od nich się wymaga w tym kierunku i należałoby z większym naciskiem podnieść wobec nich, że równie ważnem jak ćwiczenia żołnierzy i inne gałęzie służby wojskowej jest kontrolowanie żołnierzy na kwaterach, oraz podoficerów, jak obchodzą się z żołnierzami.

Podczas ćwiczeń poniewieranie zachodzi wiele rzadziej, najczęściej w koszarach.

Ale i najściślejsza kontrola nie zdoła sama usunąć poniewierania żołnierzy. Mojem zdaniem najlepszym środkiem byłoby energiczne przeprowadzenie w ogólności dobrego traktowania żołnierzy. Kto jako nieuprzedzony, bezstronny obserwator przypatrywał się taktyce przełożonych względem podwładnych najniższej rangi, ten musiał się przekonać, że właśnie w wojsku nie zawsze dotrzymywano kroku nowoczesnemu rozwojowi kulturnemu, zaznaczającemu się także w najniższej klasie ludności, ani też nie liczono się z indywidualnemi potrzebami, ztąd wynikającemi.

Nie twierdzę, iżby od czasów gwardyi olbrzymów nie widać było żadnych postępów pod tym względem, ale można temu przeczyć, że się jeszcze nie pozbyto pewnych nawyknień i zasad, odnoszących się do traktowania żołnierzy, które pochodzą jeszcze z czasów Fryderyka Wielkiego, a które są w jaskrawem przeciwieństwie do postępów nowoczesnej kultury. Przy rozwoju kultury, przy nowoczesnem przeobrażeniu się społeczeństwa obywatelskiego i prosty żołnierz ma zupełnie inne wymagania i uczucia, niż dawniej. Co dawniej uchodziło, to dziś szeregowiec uważa wprost za obrazę, za krzywdę. (Zupełna prawda! — na ławach Polaków i socyalistów).

Dziś n. p. zajmujemy to stanowisko, że niegodnie sobie postępuje przełożony, który wyzywa i bije żołnierzy; na to należy równie uważać, jak na poniewieranie. Jeżeli na to uważać się będzie, aby się liczono z duchowemi indywidualnemi potrzebami żołnierza, aby nie tylko się najadł i napił i porządnie się przyodział, lecz pod każdym względem czuł się szczęśliwym, i aby nie obrażano go w uczuciach, które dla niego są święte — natenczas i poniewieranie zachodzić nie będzie, bo skoro dobre traktowanie żołnierzy stanie się niewzruszoną zasadą, wtedy przełożony brutalny, poniewierający żołnierzy, będzie czemś tak niesłychanem, że wszyscy na niego palcem wskazywać będą. I tu nie chcę przesadzać; nie mówię, że wszystkich żołnierzy źle się traktuje, ale twierdzę, że pod tym względem zachodzą bardzo wielkie nieprawidłości i że wojsko w tym kierunku wiele więcej niż dotychczas postępować powinno z duchem czasu.

Zatrzymywałem się przytem umyślnie dłużej, spodziewając się, że, skoro dobre traktowanie żołnierzy stanie się zasadą i zwyczajem, to będzie lepiej i polskim żołnierzom, którzy najwięcej cierpieć muszą, bo wtenczas nie będą, jak dziś, narażeni na każdym kroku na wszelkie szykany i prześladowania.

M. p., w ostatnich czasach, gdy się dowiedziano o tem, że przemawiać będę przy tym etacie, odbierałem niezliczone skargi ze strony polskich żołnierzy, że doznają obelg, (Słuchajcie, słuchajcie! na ławach polskich) że przy każdej sposobności ośmiesza się to, co im jest świętem, ich język ojczysty, ich zwyczaje i tradycye ojczyste.

Nie będę tu powtarzał tych obelg; wstydziłbym się nawet ich wymieniać i nie chciałbym panów narażać na to, abyście je słuchali. Z niezliczonych skarg, które otrzymałem, gotów jestem przedłożyć kilka ministrowi wojny, naturalnie z prośbą o dyskrecyę, ponieważ nie chcę unieszczęśliwić tych ludzi, na którychby się potem zemszczono.

Doszło tak daleko, że żołnierzom zakazuje się pisywania polskich listów do rodziców i krewnych. (Słuchajcie, słuchajcie!)

Gdy to w zeszłym roku tu opowiadałem, powiedział minister wojny wyraźnie: „Hrabia Mielżyński musi być pod tym względem źle poinformowany, gdyż byłoby to niemożliwą brutalnością.“ Zgadzam się z ministrem wojny z tem, że to jest brutalnością trudną do uwierzenia, ale udowodnię, że to jest faktem. Mam tu kartę korespondencyjną, na której żołnierz pisze do przyjaciela: „Proszę cię, nie pisz po polsku, bo to jest u nas zakazane.“

(Słuchajcie, słuchajcie! na ławach socyalistów.)

Inny przypadek jest najjaskrawszy, jaki tylko pomyśleć sobie można. Pewien obywatel berliński posłał swojemu bratu żołnierzowi pięć marek przekazem pocztowym, później pisał do niego list z zapytaniem, czy odebrał pieniądze. Żołnierz odpowiedział, że nie odebrał a dowiedział się, że nie doręczono mu ich, ponieważ na odcinku przekazu pocztowego było kilka słów polskich.

(Słuchajcie! Słuchajcie na ławach Polaków i w centrum.)

Kapitan więc nie pozwolił doręczyć żołnierzowi pieniędzy i przekaz odesłano oddawcy jako niedoręczalny tylko dla kilku słów w języku polskim na odcinku przekazu. Pytam się, m. p., jak to jest możliwem, aby przełożony, nic nie mówiąc adresatowi, odmówił przyjęcia przesyłki i odesłał ją oddawcy? Wprawdzie nie byłem przytem obecny, ale mam list, który mogę ministrowi wojny pokazać i przetłomaczyć, aby zarządził śledztwo.

Oprócz tego przedłożyłem w zeszłym roku ministrowi wojny rozmaite przypadki bojkotu. Zakazano żołnierzom uczęszczać do polskich lokali i kupować w polskich składach. Minister wojny odpowiedział, że taki zakaz jest niemożliwy, chyba się odnosi do lokali, w których uprawia się propagandę socyalistyczną albo antypaństwową. Ja zaś mam tu wymieniony cały szereg lokali zakazanych, w których nie zachodziły wcale bójki, ani nie agitowano przeciw państwu.

Doniesiono mi o dwóch przypadkach z Chełmna, gdzie chodzi o lokale w których nie uprawia się propagandy antypaństwowej, i w których przebywają spokojnie obywatele, znani dobrze władzy wojskowej. Mimo to zakazano żołnierzom przebywać w tych lokalach. Chętnie wymienię ministrowi wojny te lokale pod dyskrecyą.

Przed pewnym czasem pojawił się ukaz, — nie można go inaczej nazwać — komendanta miasta Poznania, zakazujący załodze poznańskiej kupowania u firm polskich, ponieważ one nie iluminowały podczas pobytu cesarza w Poznaniu.

(Głosy na ławach socyalistów.)

Podnoszę to, mości panowie, że my Polacy dobrze wiemy, iż trzeba dać Bogu, co jest Boskiego, a cesarzowi, co jest cesarskiego. Ale po znanej mowie malborskiej nie można od nas żądać, abyśmy wyrażali z powodu niej radość przez iluminacyę.

Jeszcze kilka jaskrawych przypadków. Pewien jednoroczny z piątego batalјonu trenów w Poznaniu był w teatrze polskim. Powołuję się na p. Staudy'ego, który zna bardzo dobrze stosunki policyjne w Poznaniu, że wykluczoną jest rzeczą, iżby w poznańskiem teatrze polskim grano sztuki o tendencyi antypaństwowej. W razie odgrywania takich sztuk zamkniętoby teatr w przeciągu tygodnia. Do owego jednorocznego w teatrze przychodzi policyant i pyta go się o nazwisko. Jednoroczny, który był w mundurze wojskowym, wymienił mu swoje nazwisko. Po dwóch czy trzech dniach władza wojskowa ogłasza dla jednorocznych zakaz uczęszczania do polskiego teatru.

(Słuchajcie, słuchajcie! — na ławach polskich.)

Jeżeli to nie jest samowolą, to wyraz „samowola“ trzeba wogóle wykreślić ze słownika, a tego zakazu minister wojny z pewnością nie może pochwalić.

W tym samym batalјonie zakazano podobno żołnierzom uczęszczania do restauracyi „Grand Cafe“ przy placu Wilhelmowskim w Poznaniu. Nigdy nie słyszałem, iżby w tej restauracyi, w której przebywają Polacy i Niemcy, jakikolwiek Niemiec uskarżał się na zachowanie się Polaków, albo iżby tam uprawiano agitacyę antypaństwową. W ogrodzie tej kawiarni dawano koncerty, na które przychodzili Niemcy i Polacy.

Mości panowie, z tych przykładów możecie poznać, do czego to u nas doszło, jak nieszczęsna sugestya hakatystyczna u nas wtargnęła nawet do wojska, jeżeli jest możliwem, że tak się traktuje żołnierzy. Skoro chodzi o nas Polaków, to nie zważa się wcale na jednę z najważniejszych zasad wojska, aby nie mięszano się do polityki każdemu, kto jest w czynnej służbie wojskowej; nie istnieje natenczas paragraf 49 ustawy wojskowej.

(Zupełna prawda!—na ławach polskich.)

Ponieważ tu wspomniałem o hakatystach, przeto chciałbym wystósować jedno pytanie do ministra wojny. Niedawno w komisyi budżetowej mówiono o tem, że urzędnicy intendantury wojskowej chcieli założyć towarzystwo, ale władza wojskowa im tego zakazała, ponieważ w tem towarzystwie członkowie mogliby omawiać swoje interesy i podnosić skargi n. p. na niedostateczną pensyą lub podobne. O towarzystwie politycznem nie mogło być wcale mowy, a jednak zakazano założenia towarzystwa. Chciałbym teraz się spytać ministra wojny, czy może wie, że aktywni członkowie wojska niemieckiego, oficerowie albo urzędnicy, należą do towarzystwa dla kresów wschodnich, które ma jak najwyraźniejszy charakter polityczny i które założono jedynie w celach politycznych.

Czy aktywni oficerowie należą do tego Towarzystwa, tego nie wiem; ale że władze wojskowe w naszych dzielnicach sympatyzują z hakatystami, dowodzi tego ta okoliczność, że w uroczystości jubileuszowej Towarzystwa dla kresów wschodnich w Poznaniu, brało udział 40 oficerów z komenderującym jenerałem na czele w paradnym mundurze.

(Słuchajcie! słuchajcie! — na ławach polskich.)

Czy tych panów odkomenderowano na tę uroczystość, tego nie wiem. Wydawałoby mi się to ze stanowiska wojskowego bardzo dziwnem, gdyby rozkazano oficerom brać udział w takiej uroczystości.

Cóż ma sobie pomyśleć żołnierz polski, jaki szacunek ma mieć dla swoich przełożonych, jakie ma mieć do nich zaufanie, skoro widzi, że nie tylko wyszydzają na każdym kroku jego właściwości narodowe, to, co mu jest świętem, jego język ojczysty, ale że jego przełożeni bratają się z naszym największym nieprzyjacielem, z hakaty-

tami! M. p. Uznajemy i w przeciwniku przyzwoitego człowieka; nie myślimy bynajmniej odmawiać honoru przeciwnikowi tylko dla tego, że on nas zwalcza, jeżeli przytem używa broni uczciwej; ale, m. p., nie waham się oświadczyć, że dla towarzystwa hakatystów, dla rycerzy trzech liter, mamy tylko pogardę.

(Przytakiwanie na ławach polskich.)

M. p., wiemy o tem, i wszyscy u nas wiedzą, że walka, jaką to towarzystwo przeciw nam prowadzi, nie pochodzi wcale z wyższych motywów; nie, m. p., jej przyczyną są nienawiść rasowa, interesowność i chciwość.

(Zupełna prawda! — na ławach polskich.)

Jeszcze słówko o tem, w jak niemiłe położenie mogą się dostać władze wojskowe, mające styczność z takiem towarzystwem.

Pan, który mi doniósł o zakazanych lokalach w Chełmnie, pisze:

„Oprócz lokali, które wymieniłem, są jeszcze inne zakazane. My w Chełmnie mamy to przekonanie, że chodzi tu o napędzanie gości do lokalu „Parowo", którego właścicielem jest p. Ruperti, właściciel browaru, a szwagier kapitana Bussego w Chełmnie."

M. p., ja sam temu nie wierzę, iżby władza wojskowa z pobudek prywatnych zakazała odwiedzania tych lokali. Ale w tym liście powiedziano: „U nas tak sądzą". M. p., my Polacy słyszymy tyle o dodatkach dla kresów wschodnich, nawykliśmy do tego, że ratują zbankrutowanego właściciela ziemskiego, że rząd albo Towarzystwo dla kresów wschodnich wspomaga niemieckich lekarzy i urzędników, że panowie hakatyści wzajemnie sobie pomagają pieniędzmi, dla tego ludność polska stała się z czasem tak podejrzliwą, że i w tym przypadku mogła powstać podobna myśl, iż władza wojskowa miała przy zakazie jakieś pobudki prywatne.

Niedawno, gdy mój kolega frakcyjny ksiądz Jażdżewski podniósł, że nasi żołnierze w wojnie austryackiej i francuskiej walczyli po bohatersku, pewien pan z prawicy — zauważyłem to dobrze — machnął ręką, mówiąc: „Ach, to już dawno słyszeliśmy." Tak, m. p., czy to panom przyjemnie lub nie, my jednak podnosić będziemy właśnie to bohaterskie zachowanie się naszych żołnierzy, które panowie sami zawsze pochwalaliście. Właśnie w wojnie austryackiej — m. p., proszę, nie zapominajcie o tem — musiał walczyć brat przeciw bratu, a tragiczniejszego momentu w historyi niema, jak ten, że żołnierz był zniewolony podnieść broń przeciwko własnemu bratu. I panowie znacie takie chwile; życzę wam z całego serca, abyście więcej razy nie znaleźli się w tak straszliwem położeniu. Ale tem więcej powinniście panowie ocenić nasze położenie, tem więcej powinniście się starać, aby zwłaszcza polskiego żołnierza, który w razie wojny podług wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze znajdzie się w tem położeniu, że będzie walczył przeciw braciom swoim z tamtej strony granicy — a panowie wiecie, że wojna po dziś dzień to rzeź — aby polskiego żołnierza dobrze traktowano i aby go nigdy nie obrażano w tem, co mu jest świętem.

(Bardzo słusznie- na ławach polskich.)

MP., gdy mówicie o swojem zwycięskiem wojsku, o odniesionych przez nie zwycięstwach, wtenczas drży wam głos z entuzyazmu. Pojmujemy te wasze uczucia. Ale panowie winniście i nasze uczucia uszanować. Jedną z głównych zalet prawdziwego żołnierza jest szacunek dla przeciwnika, dla jego tradycyi i bohaterów współczesnych i dawniejszych. Wspanialszej, świetniejszej przeszłości wojska, jak wojska naszego narodu zapewne nie wiele ma narodów.

(Wesołość na prawicy.)

— Śmiej się pan, panie Gersdorf, śmiech pana nie zmieni faktów historycznych. Wspomnijcie panowie na czasy, kiedy przez wieki broniliśmy całej Europy przed Turkami, czasy, kiedy wasi przodkowie naszego króla błagali na kolanach, aby ratował Wiedeń i chrześciaństwo! MP., takiego przeciwnika trzeba szanować; przeciw takiemu walczyć trzeba środkami przyzwoitemi, uczciwemi, bronią czystą, nieskalaną.

A przedewszystkiem odzywam się do wojska: Wyrzućcie nareszcie z wojska politykę!

(Bardzo słusznie! — na ławach Polaków i socyalistów.)

Zostawcie hakatystom tę niską, wstrętną walkę. Wojsko nie powinno przykładać ręki do takiej walki. Żołnierz, oficer nie powinien nigdy splamić w tej walce swojego munduru!

(Brawo! — na ławach polskich.)



DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

FROZO.

Powieść romantyczna przez *Antoniego Hope.*

8) (Ciąg dalszy.)

— Nie będziemy już mieli mleka, mylordzie, zauważył Watkins z żalem.

Oblegający tymczasem szybko opuścili plac bitwy i zawiesili walkę. Zapewne obawiali się moich strzałów, które mogły być dla nich niebezpieczne, podczas gdy ja ukryty po za ścianą nie byłem wystawiony na ich pociski. Wybiegli na środek drogi, tak, że chcąc do nich strzelać, musiałem wyjrzeć, aby śledzić ich ruchy, ale wkrótce Hogvardt odważył się rzucić okiem i powiedział nam, że wszyscy razem ośmiu złączyli się i naradzali z sobą, nie celując teraz w nasze okna. Czując się bezpiecznym, spojrzałem na drogę i znowu widziałem, że młodzieniec stał w zwykłej swej wdzięcznej pozie, gdy Konstanty rozmawiał z Wlachem w pewnem od niego oddaleniu. Zrobiło się teraz zupełnie ciemno i trudno było rozpoznać każdego z osobna.

Sądzę, że na dzisiaj skończona ta zabawa — zauważyłem zadowolony, że nie ponieśliśmy wielkiego szwanku.

I zdawało się, że miałem słuszność, bo niebawem ujrzeliśmy naszych wrogów na skręcie drogi, szybko znikających nam z przed oczu. Noc była ciemna, ni gwiazdy ni księżyca na niebie, wszędzie panowała cisza.

— Oni powrócą, aby zabrać krowy, rzekł Hogvardt.

Czybyśmy nie mogli wziąść jedną z nich mylordzie, rzekł, i zanieść do czworoboku po za domem, gdzie jest koza.

Pochwaliłem jego zamiar. Watkins znalazł grubą linę, uzbroiłem Denisa w fuzyą, sam wziąłem nóż myśliwski ze ściany i po cichu wysunęliśmy się wraz z Watkinsem i Hogvardtem, którzy mieli przy sobie rewolwery. Zbliżyliśmy się do ogrodzenia bez przeszkody, owiązaliśmy liną rogi jednej z krów i zabraliśmy się do podźwignięcia tejże. Nie było to jednak łatwe zadanie, więc robota nasza postępowała powoli, ale wkrótce udało nam się podnieść krowę i zawlec ją na gładszą drogę. Niestety, moja radość, że na dzisiaj skończyliśmy z nieprzyjacielem była zawczesną, bo nagle usłyszeliśmy ich powracających i strzały wzlatywały po nad naszemi głowami. Mieliśmy tylko tyle czasu, aby rzucić linę i zawrócić ku domowi. Denis wystrzelił, i w tem ktoś napadł nas. Istotnie ani wiem ilu ich tam było. Mnie napadło dwóch razem, ale jednego z nich pchnąłem w rękę nożem bez wahania i myślę, że miał dosyć. W drugim z napastników poznałem Wlacha. Tłusty oberzysta pozbył się fuzyi i miał przy sobie nóż podobny do mego. Poznałem go najpierw po głosie gdy zakrzyknął dziko: No, zbliżże się tu, — bo w ciemnościach nie mogłem rozeznać jego rysów. Uniknąłem jego rozwścieklonego cięcia — bo jakkolwiek cieżki i gruby, bardzo był zręczny — i zawołałem na moich towarzyszów, nakazując, abyśmy starali się wycofać jaknajprędzej, bo obawiałem się, że możemy także być zaskoczeni z tyłu. Ale trudno utrzymać dyscyplinę w takiej jak moja armii.

— Głupstwo, zawołał Denis.

— Mein Gott, no! wygłosił Hogvardt. Watkins nic nie mówił, ale także nie spełnił mego rozkazu po raz pierwszy w życiu.

Ponieważ nie zrobili jak chciałem, musiałem zrobić tak jak oni. Cała nieprzyjacielska linia szła naprzód tak jak pod Waterlo.

Nacieraliśmy na nich ostro. Słyszałem, że ktoś wystrzelił z rewolweru i ktoś zakrzyknął. Tłusty Wlacho ustawał w ataku, upadał na siłach, wreszcie przystanął i uciekł. Denis wydał okrzyk tryumfu, co dodało mi odwagi i począłem ścigać nieprzyjaciela. Niestety pycha moja została ukaraną. Zanim bowiem zrobiłem kilkanaście kroków upadłem jak długi na ciało zabitej krowy, o które właśnie stoczyliśmy, jak niegdyś Grecy i Trojanie walkę — o ciało Hektora.

— Poczekajcie — wołałem, zaczekaj Denisie, upadłem na grzbiet krowy. Był to niechwalebny koniec naszego zwycięstwa.

Baczność, albo mój krzyk kazał im przystanąć. Nasi wrogowie umykali szybko, słychać było ich kroki po kamiennej drodze i Denis zauważył tryumfająco.

— Wygraliśmy, Charley.

— Czy który z was ranny? — zapytałem powstając na nogi.

Watkins przyznał się, że ktoś uderzył go fuzyą w prawe ramię, Hogvardt, że został zadraśnięty nożem w lewą rękę. Denis nie odniósł żadnej rany. Mieliśmy słuszność utrzymując, że nasza broń dała się we znaki najmniej kilku z naszych wrogów. Tanio okupiliśmy nasze zwycięstwo.

— No, a teraz zabierzmy krowę, rzekłem, bo zawsze lubię wykonać to, co postanowię — a potem zobaczymy czy jest co w sklepie.

Wciągnęliśmy krowę do dworu i umieściliśmy ją w ogrodzeniu po za domem. Hogvardt zaproponował, abyśmy poszli po drugą, ale nie chciałem narażać mych towarzyszów i siebie na ponowną utarczkę, która mogła była wypaść dla nas mniej pomyślnie i zadecydowałem zostawić to do jutra rana. Wówczas Watkins pobiegł do sklepu po wino, bo pragnęliśmy pokrzepić nasze nadwątlone siły, gdy ja tymczasem poszedłem zaryglować drzwi. Wpierw jednakże przystanąłem na schodach, i napawałem się wonnem i świeżem powietrzem wyspy, która znowu wydawała mi się tak czarująca jak niegdyś przedstawiała mi się w chwilach swobodnych mego życia i poprzysiągłem sobie, że żadna siła ludzka z niej mnie nie wypędzi. Powziąwszy to postanowienie właśnie zabierałem się do zaryglowania drzwi, gdy wtem usłyszałem dziwny jakiś jęk, jakoby ktoś wzywał pomocy i wbrew nienawiści do mych wrogów, zawołałem:

— Hola, czy to który z tych rannych, których żeśmy pobili? Pierwszą moją myślą było pobiegnąć wprost na miejsce skąd głos mnie dochodził, a było to w pobliżu, ale nauczony doświadczeniem, począłem wątpić czy Neopalijczycy są równej prostoty umysłu, o ile dobrego serca, a zatem zawołałem na Denisa i kazałem Hogvardtowi przynieść latarkę, poczem wszyscy trzej udaliśmy się ażeby nieść ratunek cierpiącemu. Prawdopodobnie mieliśmy ukoronować nasze zwycięstwo zabraniem w niewolę jednego z naszych rannych wrogów. Wreszcie Hogvardt za pomocą latarki odnalazł zdobycz i zawołał z pewnem rozczarowaniem w głosie: O to tylko ten młodzieniaszek, ciekawy jestem co mu się stało. — Poczem przystanął i przypatrywał się leżącemu na ziemi. — Dzięki niebu on nie jest ranny — chociaż widzę guz ma na czole, ale nie dość duży, ażeby był odniósł go w walce. Tymczasem obadwaj z Denisem podeszliśmy bliżej i patrzeliśmy w bladą twarz chłopca, która wydawała się prawie martwą przy blasku latarni. Guz nie był tak bardzo mały, ale nie mógł pochodzić od naszej broni, bo ciało nie była przecięte. Po bliższem zbadaniu okazało się, że musiał być wynikiem upadnięcia na twardej kamiennej drodze.

— Może nastąpił na linę, tak jak ty na krowę, Charley — zauważył Denis.

Mogło tak być, zapewne, ale nie zastanawiałem się nad tem na razie, bo cała moja uwaga była pochłonięta studyowaniem twarzy chłopca.

— Nie ma wątpliwości, rzekł Hogvardt, że upadł uciekając i dostał zawrotu głow,y a tamci nie spostrzegli tego w ciemnościach i bali się zatrzymać. Ale oni niezawodnie powrócą i to prędko.

— Zabierzmy go z sobą, rzekłem. Nie zaszkodzi mieć okup. — Denis uniósł chłopca w swych silnych rękach — bo był on wysoki i silnie zbudowany i szedł z nim wprost ku domowi. Szedłem za nim dziwiąc się kto to mógł być, bo twarz chłopca była uderzającej urody. Wszedłem ostatni i zaryglowałem drzwi. Denis złożył naszego więźnia na fotelu, gdzie siedział teraz odzyskawszy przytomność i spoglądał po nas wszystkich zdumiony, ostatecznie wielkie swe ciemne oczy utkwił we mnie.

— No i cóż mój mały — ?

miosło. Zabierać cudze bydło i mordować wśród dnia, to bardzo wiele na takiego jak ty wyrostka. Kto jesteś?

— Gdzie ja jestem? zawołał drżącym, niewyraźnym głosem, który pochodzi z obawy i zdziwienia.

— Jesteś u mnie, odparłem, gdzie musisz pozostać i zaprzestać twych morderczych wycieczek, a więc pogódź się z twoim losem.

Chłopiec odwrócił głowę i zamknął oczy. Naraz pochwyciłem latarkę z rąk Hogvardta, ale zanim postawiłem ją wprost w twarz chłopca, co zamierzyłem uczynić, odezwałem się do mych towarzyszy:

— Idźcie zjeść co moi drodzy i przespać się, jeżeli chcecie. Zajmę się tym wyrostkiem, a gdybyśmy znowu mieli być napadnięci przez naszych wrogów, zawołam na was.

Z początku opierali się temu, nie chcąc zostawić mnie samego jak ich prosiłem. Zostałem więc znowu sam na sam z moim więźniem tak jak pragnąłem, a wesołe głosy dolatujące mnie z kuchni, okazywały, że tymczasem rozprawiali się z butelką wina. Przystawiłem latarkę do twarzy chłopca.

— Hm, rzekłem po dłuższem badaniu. Poczem usiadłem przy stole i zacząłem nucić półgłosem dziki śpiew jednookiego Alexandra, którego przerażająca nuta ciągle brzmiała mi w uszach. Nuciłem przez pewien czas, a chłopiec drżał na całem ciele, poruszał się niespokojnie i wreszcie otworzył oczy. Takich oczu nie widziałem nigdy w życiu, nie mogłem nawet porównać ich z oczami Beatrycy Hippgrave, jakkolwiek i ona miała ładne oczy w swoim rodzaju. Przestałem nucić, chłopiec rzekł znowu na wpół sennym głosem.

— O nie, nie, nie rób tego, Konstanty.

— Dobre ma serce, pomyślałem i uśmiechnąłem się. Całe to zajście było tak dziwnie niezwykłe i interesujące.

Chłopiec znowu patrzał na mnie bystro i przenikliwie. Nalałem szklankę wody i podałem mu do napicia. Odebrał ją drżącą ręką — a ręka ta zwróciła moją uwagę — wypił wodę chciwie i postawił szklankę na ziemi z westchnieniem.

— Jestem lord Wheatley, rzekłem. Przyszedłeś tu zabierać moje bydło i mordować mnie, gdyby ci się było udało.

Chłopiec odwrócił oczy na chwilę.

— To nie było moim zamiarem bynajmniej, odparł. Sądziłem, że się poddacie gdy zabierzemy krowy.

— A — tak sądziłeś, odparłem z przekąsem, a ja myślę, że robiłeś jak ci kazali.

— Nie, mówiłem Konstantemu, aby nie..... Chłopiec przerwał nagle, spojrzał w około i zawołał zdziwiony. — Ale gdzież jest reszta moich ludzi

— Reszta twoich ludzi uciekła — odparłem, a ty jesteś w moim ręku i mogę zrobić z tobą co mi się podoba.

On ściągnął usta, ale nie wyrzekł ani słowa.

— A potem gdy pomyślę o tem co wczoraj tu widziałem, rzekłem surowym o ile mogłem, głosem, jak krwiożerczy i dziki tłum zamordował biednego bezbronnego starca.

— Stało się to przypadkiem, zawołał chłopiec żywo, a głos jego brzmiał silnie i donośnie.

— Postaramy się wyjaśnić tę sprawę przed sądem — odparłem poważnie. — W każdym razie zasztyletowano go w jego własnym domu za to, że zrobił to, do czego miał zupełne prawo.

— Nieprawda, nie miał prawa sprzedawać wyspy, zakrzyknął chłopiec i podniósł się z pewną dumą na krześle, ale zaraz upadł znowu i wyciągnął rękę po szklankę z wodą.

Właśnie w tej chwili nadbiegł Denis wesoły i podchmielony.

— I cóż więzień? zapytał.

— Zupełnie mu dobrze, odparłem i posunąłem latarkę dalej, aby chłopiec pozostał w cieniu.

— Tem lepiej, zauważył Denis, bo może moglibyśmy zasięgnąć od niego pewnych wiadomości, Charley.

— A może nie będzie chciał nic nam powiedzieć, podsunąłem spoglądając na więźnia, który siedział nieporuszony w krześle.

— Musi nam powiedzieć, rzekł Denis z naciskiem i dopiero teraz spostrzegłem, że miał w ręku grubą śpicrutę, którą zapewne znalazł w kuchni. — Gdyby nie chciał gadać, spróbujemy czy to nie pomoże, rzekł Denis wskazując na śpicrutę, a mówił tak, jakoby istotnie miał ochotę, aby chłopiec nie uwzględnił naszego życzenia.

Znowu postanowiłem latarkę wprost w twarz więźnia, aby zobaczyć jakie wrażenie słowa te wywarły na dumnem jego obliczu i spotkałem się z jego podejrzliwem spojrzeniem.

— Widzisz tę spicrutę? — zapytałem. — Czy chcesz odpowiedzieć na nasze pytania?

Chłopiec nic nie odpowiedział, ale zauważyłem że był niespokojny i nie spoglądał już na mnie tak śmiało.

— Wkrótce znajdziemy mu język, zawołał Denis rubasznie; — na słowo on zasługuje, aby dostać w skórę, powiedz sam, Charley.

— Ale jeszcze o nic go nie pytaliśmy — rzekłem.

— Pozwól że ja go zapytam. Otóż powiedz nam kto to był z tobą i z Wlachem?

Denis mówił po angielsku, ja przetłomaczyłem to na greckie, ale oczy więźnia mówiły, że zrozumiał Denisa. Znowu się uśmiechnąłem. Chłopiec milczał, podejrzenie i obawa malowała się w jego oczach.

— Widzisz, to uparty kozioł, rzekł Denis, jakoby czekając tylko na sposobność wykonania swego zamiaru, niecierpliwie przesuwał spicrutę pomiędzy palcami.

Chłopiec znowu wstał z krzesła i patrzał prosto w twarz Denisowi, jakoby dziwował się jego barbarzyńskiemu postępowaniu, co i mnie się zdawało w tej chwili, a potem opadł w krzesło i ukrył twarz w obu rękach.

— Nie puszczałbym się na takie mordercze wycieczki, gdybym nie miał więcej nad to odwagi, mój chłopcze, rzekł Denis z pogardą. — To nie dla ciebie zajęcie. Tym razem nie potrzebowałem tłomaczyć słów Denisa, bo wiedziałem, że chłopiec go zrozumiał jaknajdokładniej. Ale nie odrzekł na to ani słowa. Ukrywał twarz w drobnych swych rękach. Przez chwilę był jak martwy, poczem poruszył się jakoby pod wrażeniem głębokiego cierpienia i usłyszałem tłumione łkanie.

— Zostaw nas samych na chwilę, Denisie, rzekłem. — Może on powie mi to, czego nie chce powiedzieć tobie.

— Może chcesz go wypuścić na wolność? — zapytał Denis podejrzliwie. — Że też ty nigdy nie możesz postawić się ostro, Charley.

— Muszę go wybadać sam pierwej, — rzekłem objaśniając.

— A jak nie zechce ci odpowiedzieć? — nagabywał Denis obstając przy swojem.

— Jak nie zechce, odparłem, to wtenczas możesz zrobić jak ci się podoba.

Denis wyniósł się do kuchni, niekryjąc swego złego wyobrażenia o mnie z powodu mej głupiej tkliwości serca i znowu byłem sam z chłopcem we dwoje.

Mój przyjaciel ma słuszność — to nie dla ciebie takie zbójeckie zajęcie, mój mały — jak się to stało, że się w nie dostałeś, powiedz mi.

Na to pytanie chłopiec opuścił ręce i znowu spojrzał na mnie.

— Jakim sposobem przyszedłeś do tego, aby być na czele tej dzikiej hordy, ty, który powinieneś wstrzymać ich od mordów — jakim sposobem, zamiast unikać towarzystwa takiego Konstantego i Wlacha, ty jesteś ich wspólnikiem?

Nie odebrałem na to odpowiedzi, tylko lękliwe spojrzenie chłopca błądziło po mej twarzy w blasku Hogvardta latarni, więc podszedłem bliżej i zapytałem.

— Kto jesteś, jak się nazywasz?

— Jak się nazywam? — powtórzył więzień drżącym głosem — tego nie powiem.

— A więc nie chcesz mi nic powiedzieć, a słyszałeś co mówiłem memu przyjacielowi.

— Tak, słyszałem, odparł młodzieniec na którego bladem obliczu widniał wyraz hardej rezygnacyi.

Roześmiałem się gorzko.

— Z tem wszystkiem przekonuję się teraz, że jednak przystoi ci takie zajęcie, rzekłem spoglądając na niego z niechęcią ale i podziwem równocześnie. Tymczasem miałem zawsze jeszcze jedną broń na niego, moje ostatnie pytanie — a zatem posunąłem latarkę naprzód i zapytałem go wyraźnie i powoli, a mówiłem to w tonie tak uczuciowym, że musiało wydawać się dziwnem.

— Czy zawsze nosisz takie ubranie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nieznajoma.

Powieść z angielskiego — tłomaczył *P. A.*

14) (Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

Na drugi dzień po pogrzebie hrabiego Clary i starej hrabiny, przybył adwokat, aby otworzyć testamenty zmarłych.

Najpierw wziął testament hrabiego.

Wielkiemi sumami nie mógł hrabia rozporządzać. Mirze wyznaczył dożywotnią rentę trzysta funtów rocznie, Emilii zostawił — przebaczenie, Celinie zaś i Anecie każdej po trzy tysiące funtów. Aneta miała się wychowywać pod opieką Walentyny, Celina zaś, w razie, gdyby się znalazła, miała mieszkać także u Walentyny lub u Miry.

Gdyby stwierdzono, że nie żyje, wtedy przechodziły jej trzy tysiące na Mirę. Walentyna otrzymywała wystarczające utrzymanie, syn zaś odziedziczał cały majątek rodzinny.

Teraz wziął adwokat testament hrabiny.

Mira i Aneta dostawały od niej każda po pięć tysięcy funtów, o Celinie i Emilji natomiast żadnej nie było wzmianki. Hrabina nie mogła wybaczyć tego, że jedna poszła w świat w celu zarabiania na życie, a druga za mąż wbrew woli rodziny.

Emilja odczuwała gorzko tę niesprawiedliwość, ale na pozór nie okazała żadnego żalu i upokorzenia.

Mira prosiła Walentyny o pozwolenie zabrania Anety na pewien czas do Cedrowego Dworu. Śmierć ojca głębokie na dziewczynce wywarła wrażenie i zmiana miejsca pobytu tylko korzystną dla niej być mogła. Walentyna chętnie zgodziła się na to.

Dwa dni po pogrzebie odjechały wszystkie trzy siostry do Wyndham. Emilja w bardzo złym była humorze, przemyśliwając nieustannie nad tem, w jaki sposób powiedzieć mężowi, że ani po ojcu ani po ciotce nie otrzymała grosza pieniędzy!

— Czemu nie mówiłaś mi nic o tem — odezwała się nagle dosyć szorstko do Miry — że pisałaś do papy z zapytaniem o list Celiny?

— Nie wiem sama, dla czego, może dla tego, że przykro mi jest mówić o niej, zresztą tajemnica, jaka ją otacza i tak się przez to nie rozjaśni.

Na dworcu w Wyndham spotkały Edwarda Grella, który wystarał im się o dorożkę i pomógł ułożyć rozmaite pakunki.

— Jaki on ładny i uprzejmy — zawołała Aneta.

— Zapomniałam mu powiedzieć — rzekła Mira — że widziałyśmy w Londynie jego ojca.

Przed domem doktora wysiadła Emilja, dorożka zaś pojechała dalej do Cedrowego Dworu. Canington, któremu Emilja nic o powrocie nie donosiła, wybiegł rozpromieniony naprzeciw żony i powitał ją z niezmierną radością. W salonie, do którego teraz weszli oboje, palił się jasny ogień na kominku, różowo przysłoniona lampa oświecała pokój, a na małym stoliku zastawioną była herbata. Wszystko tu wyglądało wytwornie i zacisznie.

— Ach Lotarze — szepnęła Emilja — nigdzie nie jest tak ładnie i wygodnie, jak u nas, a nikt nie jest takim dobrym i uprzejmym mężem, jak ty! Zostałyśmy w Londynie aż do otwarcia testamentu...

— Jesteś teraz pewnie tak bogatą, że twój mąż, nie mający majątku, nie będzie się mógł zbliżyć do ciebie — zawołał Canington z uśmiechem.

Emilja odwróciła się, aby ukryć łzy.

— Dostałaś pewnie piętnaście do dwudziestu tysięcy funtów — mówił Canington dalej. — O ile wiem, to ciotka wasza była bogatą i zapisała wam bez wątpienia większą część swego majątku.

— Nie, nie! — zawołała Emilja. — Muszę ci zaraz prawdę powiedzieć — ja nie otrzymałam ani grosza.

— Nie może być!

— Papa nie zapisał mi nic, dał tylko swe przebaczenie, ciotka zaś zapisała Mirze i Anecie razem dziesięć tysięcy funtów. Mnie — nic!

Ciężkie westchnienie dobyło się z piersi Caningtona.

— Jest to okropne rozczarowanie, krzycząca niesprawiedliwość — oburzaja się Emilja. — I więcej chodzi mi jeszcze o ciebie, niż o mnie!

— A Mira?

— Ona ma rocznie trzysta funtów i oprócz tego kapitału ośm tysięcy funtów, jeszcze więcej zaś dostanie w razie śmierci — innych osób. Co my teraz zrobimy, Lotarze?

— Musimy się pogodzić z tem, co jest.

Chcąc zakończyć nieprzyjemną tę rozmowę, wyszła Emilja do drugiego pokoju, i teraz zmieniła się wesoła twarz Caningtona. Ręce opadły mu bezsilnie, oczy błędnego nabrały wyrazu. Liczył on bardzo na sukcesyą żony, aby spłacić naglące długi, a tymczasem...

Oparty czołem o szybę, patrzał bezmyślnie na ulicę, gdy nagle zdawało mu się, że widzi znów tę twarz okropną, którą tu już dwa razy zobaczył, w tej nocy, gdy umarła pani Carell, i gdy układał plan ucieczki z Emilją. Tracąc zupełnie przytomność, zatoczył się, jak pijany i przerażający krzyk jego rozległ się w pokoju...

ROZDZIAŁ VI.

Siedem lat — to długi przeciąg czasu — dla ludzi. Tyle lat minęło od śmierci hrabiego Clary.

W tym roku udała się Walentyna z swym synkiem, ładnym, siedmioletnim chłopczykiem i Anetą, śliczną dziewiętnastoletnią dziewczyną do morskich wód do Torquai.

Kilka młodych panienek siedziało na ławce na wybrzeżu.

— Najpiękniejszym i najinteresowniejszym kawalerem, jakiego tu mamy, jest on! — zawołała Lilly, córka generała Vansitarta. — Nikt nie umie rozmawiać tak wesoło i dowcipnie!

— Szkoda tylko — odpowiedziała Dora Brandon — że on sobie z żadnej z nas nic nie robi. Kto to był zresztą ową ładną młodą dziewczyną, z którą rozmawiał wczoraj na sali? Słyszałam, że angażował ją do tańca, ale ona odmówiła mu pod pozorem, że matka nie pozwala jej tańczyć. Matka, kobieta o wspaniałej postaci, potwierdziła to, mówiąc, że córka jej musiałaby też potem z innymi tańczyć, a taniec nie służy jej.

— Bóg wie, kto to jest — rzekła Lilly pogardliwie.— Może to ludzie nie należący wcale do naszego towarzystwa.

— Ach nie, oni wyglądają bardzo dobrze — sprzeciwiała się Dora — wczoraj po południu jechała ta panna z małym chłopczykiem w bardzo wytwornej karecie, na koźle siedział służący, murzyn. Jestem pewną, że należą oni do najlepszego towarzystwa.

— Wszyscy tu jeżdżą karetami.

— Ale nie takiemi.

— Najpiękniejszą można mieć za sześć szylingów za godzinę.

— Kareta, którą ja widziałam, nie była najętą. Na drzwiczkach były korony hrabiowskie i herby. To wystarcza.

— Hrabiowskie korony?

— W takim razie nie dziwię się, że taniec szkodzi jej tam, gdzie każdy ma wstęp za parę szylingów.

— Nie pojmuję wcale, że jej wczoraj nie zauważyłam — odezwała się po chwili Lilly.

— Nie zostały długo na sali. On odszedł z niemi, ale wrócił potem znowu, widać, że zna ją bardzo dobrze.

— Może to jego pacjentki.

— Otóż i on! Zapytaj go, kto są te panie!

Wysoki, młody, bardzo przystojny mężczyzna zbliżał się właśnie w stronę rozmawiających. Lilly Vansitart miała słuszność — był to człowiek wytworny w całem znaczeniu tego słowa, a piękna jego twarz wyrażała niezmierną dobroć serca obok wielkiej inteligencyi. Edward Grell, on to bowiem był przedmiotem rozmowy i westchnień panien, nie zwracał rzeczywiście na nie uwagi.

W przeciągu tych lat siedmiu wiele zaszło zmian w rodzinie doktora Grella. Przesiedlenie się jego do Londynu wywarło nader korzystny wpływ na całą jego przyszłość — niedawno lekarzem w małem mieście Wyndham, był teraz nadwornym doktorem królowej Aleksandry! Szczęście posłużyło mu nadspodziewanie — w krótkim czasie pozyskał taką praktykę i taką sławę, że zmarła królowa Wiktorja nadała mu tytuł barona, a następca jej, król Edward mianował go lekarzem swej małżonki!

Edward ukończył studja w Oksfordzie i został także doktorem. Nie można się było dziwić pannom w Torquai, że się tak bardzo nim zajmowały — bogactwo i stanowisko ojca zwiększały jeszcze osobiste zalety i przymioty syna. Towarzyszył on matce do wód i oboje stali się tu wnet przedmiotem ogólnej uwagi i uprzejmości.

Zaledwie się ukazał na wybrzeżu, gdy mały, ładny chłopczyk żywo ku niemu podbiegł.

— Jak się masz Albercie? — zawołał Edward. — Zkąd tu przychodzisz?

— Mama jest także tutaj i kazała mi iść do ciebie — odrzekł malec.

— Kto jest to dziecko? — zapytała teraz Lilly ciekawie.

Edward podniósł chłopca w górę i posadził go sobie na ramionach.

— Powiedz tym paniom kto jesteś — rzekł.

Ale nieśmiałe dziecko milczało.

— Spotkałam go wczoraj w towarzystwie murzyna— zaczęła Dora Brandon — i nie wiedziałam...

— To był Cezar — przerwał chłopczyk.

— Widzisz, imie służącego powiedziałeś — zawołał Edward — powiedz teraz i twoje tej pani!

— Albert — szepnął chłopiec i zsunąwszy się z ramion doktora, uciekł.

— A nazwisko? — zapytała Lilly.

— Albert, hrabia Clary.

— Ah, to ten mały hrabia, który się urodził, gdy ojciec jego umarł.

— Tak!

— Więc to była hrabina Clary, z którą pan wczoraj rozmawiałeś na sali? A kto była owa młoda dziewczyna? — rzekła Dora, patrząc z złośliwym uśmiechem na Lilly.

— Siostra małego Alberta, lady Anna Clary.

— Są to pacjentki pana?

— Mego ojca.

Mały Albert przybiegł znowu.

— Aneta każe ci powiedzieć — zawołał, że ma wiadomości z Londynu.

Edward pożegnał panienki z wielkim pospiechem i udał się natychmiast w przeciwną stronę, tam, gdzie na kamieniach, tuż nad wodą, stała śliczna, młoda dziewczyna w jasnej sukni i wielkim białym kapeluszu.

Była to Aneta Clary.

Lilly Vansitart patrzała z wielkiem niezadowoleniem na dwoje tych młodych, pięknych ludzi. Zauważyła ona bowiem, że nie byli oni sobie obojętni i miała słuszność — gorąca miłość łączyła od dawna serca Edwarda i Anety.

Od czasu gdy doktor Grell został lekarzem Walentyny, zawiązała się szczera przyjaźń pomiędzy obydwiema rodzinami i nic jej rozerwać nie zdołało.

Walentyna wiodła życie ciche i spokojne, poświęcając się wyłącznie wychowaniu syna i Anety. Przyjaźń z rodziną doktora wystarczała jej zupełnie.

Pani Grell wyjeżdżała z Edwardem co rok do Torquai i w tym roku postanowiła Walentyna udać się tam również z Albertem i Anetą. Ale ani ona ani doktorowa nie wiedziały zgoła nic o miłości młodych.

— Dzień dobry pani — zawołał teraz Edward, ściskając rękę zarumienionego dziewczęcia. — Mówiłaś mi wczoraj, że nie prrzyjdziesz dziś rano nad morze, a tymczasem widać zmieniłaś zdanie!

— Nie chciałam przyjść, rzeczywiście, ale mama mówiła, że mi to posłuży. Ojciec pana pisał do mamy.

— O czem?

— Ojciec pana chce koniecznie, abyśmy pojechały do jakich niemieckich lub francuskich wód...

— Ale chwilowo zostajecie panie tutaj...

— Ach, wyjechałybyśmy tam dopiero w jesieni. Mama zaprosiła tu Mirę, musimy więc czekać na jej odpowiedź, czy przyjmie zaproszenie, czy nie.

— Mam nadzieję, że lady Mira przyjedzie.

ROZDZIAŁ VII.

Mira siedziała w swym saloniku w Cedrowym Dworze i czytała.

W ostatnich siedmiu latach wielkie w tej części miasta zaszły zmiany — Cedrowy Dwór nie stał już samotny, jedna ulica powstawała obok drugiej, a jedna kamienica była piękniejszą, niż druga.

Mira nie zmieniła się wcale. Spokojne bez troski życie odmłodziło formalnie jej ładną sympatyczną twarz i nadało jej wyraz swobody, jakiej dawniej nie znała.

Jeden kłopot jednak został jej z przeszłości, to jest kłopot o Celinę. W ciągu tych wszystkich siedmiu lat nie otrzymała od niej żadnej wiadomości, żadnego znaku życia. Nawet pani Trast, jedyny łącznik pomiędzy Mirą a Celiną, znikła jej z oczu. Pan Trast sprzedał swój skład i wyprowadził się z całą rodziną do Francyi czy do Niemiec tak, że Mira nic już o nich nie słyszała i nie wiedziała, gdzie mieszkają.

Celina Clary znikła bez śladu, a los jej stał się jedną zagadką więcej pomiędzy licznemi zagadkami życia i Mira myślała już o niej, jak o umarłej. Wszystkie sposoby wynalezienia jej były dawno wyczerpane.

Zaproszenia Walentyny do Torquai nie przyjęła, przyrzekając natomiast przybyć do Londynu na święta Bożego Narodzenia. Ale zaledwie list ten wysłała, gdy otrzymała powtórne zaproszenie Walentyny.

— Przybywaj natychmiast — pisała hrabina — chodzi tu o Anetę. Potrzebuję twej rady w bardzo ważnej sprawie!

Więc musiało to rzeczywiście być coś bardzo ważnego, inaczej nie byłaby Walentyna, zwykle tak spokojna i pewna siebie, pisała w ten sposób.

— Pojadę dziś jeszcze — pomyślała Mira. — Nie mogę znieść niepewności.

I zadzwoniwszy na Idę, kazała jej zapakować rzeczy.

Kilka minut później weszła do salonu Emilja.

Posiadała ona teraz wszystko, czego próżne jej serce pragnęło — miała wspaniałą karetę, stangreta, lokaja i kosztownie urządzone mieszkanie. Ojciec Lotara umarł i zostawił mu cały swój majątek, to też w całem Wyndham nie było wytworniejszego domu, jak dom Caningtona.

Ale Mira nie była jeszcze ani razu u siostry, tylko Emilja odwiedzała ją czasem.

I gdy weszła teraz do salonu, rzuciła biały koronkowy parasolik na stół i zbliżyła się szybko do siostry.

— Proszę cię Miro — zawołała gwałtownie — odstąp mi twej Idy.

— Zkąd ty na to przychodzisz? — odrzekła Mira zdumiona.

— Ach, moja Marta jest tak głupią i niezgrabną, że mnie do rozpaczy doprowadza! Gdybym tylko mogła inną dostać, wypędziłabym ją natychmiast. Ida zadowolni mnie zupełnie.

— Ale ja sama potrzebuję jej. Ona dziś jeszcze jedzie ze mną do Torquai.

— Co to znowu znaczy. Powiadałaś mi przecież w piątek, że nie przyjęłaś zaproszenia.

— Tak, ale Walentyna pisała dziś po raz drugi wzywając mnie koniecznie, i dla tego jadę!

— I nie odstąpisz mi Idy?

— Żałuję bardzo, że muszę ci odmówić, ale ja się doprawdy obejść bez niej nie mogę.

— Miałabym ochotę jechać z tobą do Torquai. Walentyna ucieszyłaby się z pewnością, gdybym ci towarzyszyła.

— Ja tam prawdopodobnie kilka tygodni zostanę, a twój mąż nie pozwoliłby ci na tak długo wyjeżdżać.

— O to nie pytam wcale — odrzekła Emilja z gorzkim uśmiechem — i jeżeli nie pojadę, to tylko dla tego, że chciałabym być na wyścigach konnych. Wiesz, że wtenczas zjeżdża się tu cała okoliczna arystokracja i bawimy się zawsze bardzo wesoło. Wszyscy bywają u nas i okazują mi wiele życzliwości!

Po tych słowach pożegnała Mirę i jak prędko przyszła, tak też prędko wybiegła.

Na jasnem niebie pożycia małżeńskiego Lotara i Emilji ukazywały się od czasu do czasu mniejsze lub większe chmury, a oboje małżonkowie byli temu winni. Emilja była straszliwie zazdrosną, Lotar zaś nie zadawał sobie trudu przekonywania jej, że podejrzenia jej bynajmniej nie były uzasadnione. Gwałtowne sceny, jakie mu wyprawiała nie zwiększały ich szczęścia — Emilja uważała siebie za nieszczęśliwą, opuszczoną kobietę, której już zupełnie obojętnem jest, czy się mężowi podoba czy nie!

W towarzystwie wiernej Idy wyjechała Mira tego dnia jeszcze do Torquai. Z pociągu, którym odjeżdżała, wysiadło dosyć dużo osób, a pomiędzy temi jakaś pani, nie młoda, z małym i bladym chłopczykiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



A. Rieger
Album „Pracy“.

ROZTOPY WIOSENNE.

Drukiem „Pracy“.



Wnuczka Jana III

(Marya Klementyna Sobieska.)

(Dokończenie.)

Na dworze Stuarta dosyć licznym, znajdował się między innymi pułkownik Hay, jego żona, powabna i zręczna, była jedną z dam dworskich Klementyny. Powiernicy ci wraz z innymi dworzanami, ludźmi różnych przekonań, snuli wątek intryg przeciw młodej małżonce swojego króla wygnańca, przewyższającej ich rozumem i szlachetnością uczuć. Marya Klementyna nie rozporządzała swym majątkiem, gdyż całą sumę posagową, bardzo znaczną, sto tysięcy funtów sterlingów wynoszącą, królewicz wypłacił zięciowi bez żadnych zastrzeżeń, co było powodem do różnych upokorzeń księżny.

Gdy Jakób okazywał się zbyt pobłażliwym dla swych dworzan, tak niechętnych jego żonie, i jeszcze powierzył wychowanie syna starszego pułkownikowi Hay, protestantowi, Klementyna usunęła się do klasztoru św. Cecylii. Wkrótce po rozstaniu się z żoną, Stuart opuścił Rzym i zamieszkał w Bolonii.

Marya Klementyna utrzymywała zawsze serdeczne stosunki z ojcem, jak tego dowodem są jej listy do królewicza. Przesyłała też ojcu listy męża i swoje do niego pisane, gdyż przez cały czas rozłączenia małżonkowie nie przestali ze sobą korespondować, a choć robili sobie wyrzuty, upewniali się jednak nawzajem o szczerem i gorącem przywiązaniu. Wszystkie listy Klementyny Sobieskiej z tej epoki pieczętowane są czarnym lakiem, pieczątka wyobraża kupidyna z napisem: *Je pleure ton absence.*

W roku 1727 usunął nareszcie Stuart pułkownika Hay, dawszy mu tytuł lorda Inwerness. Wychowanie dzieci powierzył lordowi Dumbar. Donosząc o tem żonie, błagał ją, by przyjechała do Bolonii, zaopiekować się synami, co też niezwłocznie uczyniła. Pretendent wyjechał tymczasem do Awinionu w celach sukcesyi tronu po zmarłym królu angielskim Jerzym, lecz i te nadzieje zawiodły.

Powróciwszy do Włoch, zamieszkał Jakób Stuart stale wraz z żoną i dziećmi w Rzymie, w pałacu Monbi; odtąd panowała jak najlepsza harmonia, choć Klementyna nauczona doświadczeniem, stała się nieufną i przezorną; dowiedziawszy się, iż ojciec jej zamierza za życia oddać jej znaczną część majątku, 100,000 dukatów, prosiła go, azeby ją uczynił dożywotniczką, nie chcąc męża powtórnie robić szafarzem swojego majątku. Papież wyznaczył też Stuartom rentę 12000 dukatów rocznie; traktowano ich z wszelkiemi honorami, nosili tytuł króla i królowej W. Brytanii, syna ich starszego nazywano księciem Walii, młodszego ks. Jorku. Król Jakób chodził do apartamentu Papieża prywatnemi schodami, siadał przy nim na fotelu, kardynałowie z wyjątkiem niemieckich składali mu wizyty.

Klementyna prowadziła tu życie świątobliwe; przywiązana do swej religii, szanowała przekonania innych. Pełna słodyczy i wyrozumiałości, dobrze czyniła, skoro tylko mogła. Bystrego umysłu, posiadała wiele języków, mówiła z łatwością po polsku, niemiecku i francusku, także po włosku i angielsku.

Królewicz Jakób Sobieski starał się o wyjednanie indygenatu dla swoich wnuków, młodych Stuartów, lecz bezskutecznie. Gdy po śmierci Augusta II niektórzy stronnicy Sobieskich zamierzali postawić królewicza Jakóba w rzędzie kandydatów do korony polskiej, córka radziła mu, aby zaniechał usiłowań wyniesienia, przypominając, jak ciężkie jest brzemie rządzących państwem.

Marya Klementyna zakończyła życie w sile wieku 18 stycznia r. 1735. Zgon jej przedwczesny wywołał żal powszechny w Rzymie i okrył żałobą jej ojca. Pamięć jej uczczono wspaniałym pomnikiem w kościele S. Piotra, w bocznej galeryi, po lewej stronie nad wejściem na kopułę. I dziś pielgrzymi polscy, zwiedzając Watykan, podziwiają ów piękny sarkofag z porfiru, ozdobiony bronzami i pokryty alabastrową draperyą, po nad którym dwie alegoryczne figury utrzymują medaljon mozaikowy z portretem Maryi Klementyny Sobieskiej; grupa oparta o piramidę kamienną, jest dziełem Piotra Bracci.

Królewicz Jakób Sobieski, przelewając przywiązanie do córki na jej synów, utrzymywał z nimi korespondencyą, obsypując ich darami milionowemi, z pominięciem drugiej swej córki ks. de Bouillon, z którą był w rozterce. Dobra swe Oławskie zapisał też Stuartom.

Starszy z synów Klementyny, Karol Edward, odznaczający się piękną powierzchownością, wcześnie bo w roku 18 zaciągnął się do wojska pod dowództwo Don Karlosa. Francya, chcąc upokorzyć Anglię, podjęła znów w roku 1744 wyprawę w jego imieniu, lecz dziwnem losu zrządzeniem i ta flota rozbitą została przez burzę, a wiele tysięcy marynarzy śmierć w morzu znalazło. Karol Edward powrócił do Francyi, atoli w roku następnym popłynął sam do Szkocyi, i stanął na czele górali i ochotników. Zajął Edymburg, następnie pod Prosten odniósł wielkie zwycięstwo nad wojskiem królewskiem. Wojna toczyła się z różnem powodzeniem.

Karol wśród gradu kul odznaczył się męztwem; bohaterski duch pradziada Sobieskiego odżył w młodym Stuarcie, mimo to wojsko królewskie otrzymało przewagę, a bitwa pod Culloden była klęską dla Stuarta. Ścigany, musiał ukrywać się po chatach wieśniaczych i w jaskiniach, i zaledwie życie ocalić zdołał z pomocą rodziny Makdonaldów; — nie sądzono mu było uwieńczyć skronie koroną przodków, o której mimo zawodów marzył do końca życia, spodziewając się szczęśliwszych dla siebie kombinacyj.

Na tle romantycznych przygód w czasie wyprawy księcia do Anglii i Szkocyi, odtworzył Walter Skott w „Wawerleju" urocze obrazy ówczesnej Szkocyi i bohaterską postać (Karola Edwarda) syna Klementyny Sobieskiej.

Wanda Tyszka.



Ludwik Stasiak.

W zapadłym szybie.

9 Powieść z życia górników.

Z rysunkami Józefa Ryszkiewicza.

(Ciąg dalszy).

Jako morze to życie. Drobna fala, szara fala, ogromna szara płaszczyzna. I życie i morze urozmaica jedynie burza. Nieszczęście, rozpacz, łzy. Szczęście ludzkie tak małe i nikłe, jako ta codzienna fala, którą kołysze się morze. A nieszczęście ludzkie jako ogrom spiętrzonych wód. Porwał na barki olbrzyma okręt, na skały go niesie, na zatratę, na skon...

. . . .

Leci nieszczęśliwy człowiek. Strach przed nieszczęściem jest gorszy, niż nieszczęście. Leci przez ścierniska i podgaje wierzbowe, w głębi brzozowy las. Korony brzóz jako dym czarne, a pnie się bielą jako świece, któremi otoczono trumnę. Tam trumna jego szczęścia.

— Jeśli to prawdą jest, co starejszy mówił... Oh, już niema nadziei, żeby to nieprawdą było. Nadzieja chwilami w sercu się rozpaliła, spłonęła jako słomiany ogień. Zaduch, dym ohydy z niej pozostał. A jeśli jest prawdą...

Stanął, zamyślił się. Wszak mogą go widzieć, mogą się spłoszyć. W wąwozie osty wysokie rosną; wpadł w osty, wąwozem leci. Puchy ostów sia-

dły na nim, włosów puch się czepia, jakby człowiek posiwiał. Za ostem jałowce, na polesiu ożyny w bukietach ogromnych rosną, przez ożyny do lasu brzozowego droga. Wpadł weń. Gaj wzdłuż i wszerz. Ptactwo się płoszy i ślepe nocą z drzewa na drzewo przelatuje. Przebiegł starodrzew, przez podszyty las się przedziera. Ostrężnice go trzymają w pochodzie. Wyciągła ręce ostrężnica, sto kolczastych pazurków w sukmanę Józefa wbiła, trzyma go i trzyma, jakby wołała: nie chodź tam...

Tam parya ciemna, tam źródła biją. Koło źródeł łąka bujna, na leszczynach powoje i chmiele wiszą. Księżyc patrzy na bielutkie szyszki chmielu, brylantami iskrzy w prześlicznych jagodach ożyny, ślepiem iskrzącem błyszczy wronie oko.

Przyleciał kruszak nad urwisko, za przesłoną olsz człowiek jakiś...

— On!!! Pisarz!!!

Widzi go kruszak dokładnie. Radziejowszczyk.

Pochylił się, w głąb łąki patrzy, nadsłuchuje. O! Było w duszy tyle nadziei, ile w kwietniu śniegu. Odrobina nadziei, że... Może słowa starejszego kłamstwem, oszczerstwem. Biała grudka kwietniowego śniegu stajała. Błoto i ohyda w duszy. A więc prawda. A przecie trzeba się przekonać, trzeba na oczy widzieć. Wszak Marysi niema. Pisarz sam patrzy w dal. Wpił oczy w niego, skulił się chłopak w młodych brzezinach.

— Boże mój, Boże!

Graby nad wodą zielone rosną, rozchyliły się gałęzie grabiny, dziewczynę białą widać. Uszła kilka kroków, pisarza ujrzała, rączęta na oścież rozchyliła...

— Onaż to?! Ona?!

Idzie Józef chyłkiem na brzeg urwiska, czołga się, aby go nie widziano, patrzy z za łobod i ostów, które nad wąwozem rosły... Księżyc wyszedł z za chmur, łąkę srebrem okrasił, na twarz dziewczęcia spojrzał. Leci dziewoja z rozkrzyżowanemi rękami, czworo rozchylonych ramion leci ku sobie, spotkały się, zaplotły się, tuli pisarz, ściska i całuje...

— Ooo!

Oczy szaleją, jestestwo szaleje.

— Ona!

Serce pożar w tętnice rozesłało, głowa goreje, zerwał się Józef, aby zabić, aby targać, aby mordować, aby kąsać, szalony na oślep huraganem bieży.

Krzyknął okropnym głosem:

— Maryś!!!

I runął z urwiska na dół, ciemie w pień leżące na ziemi uderzyło, świat się obrócił w głowie, człowiek bez ducha na łączce u źródeł leży.

. . . .

Znalazł go pastuch na trzeci dzień. Podniósł, wodą zmył skronie, gorączka parzy ręce chłopczyny. Chce pastuszek, aby wstał, aby wsparty na nim poszedł, chce wskrzesić w chorym człowieku przytomność.

Próżny trud. Ciało opada ku ziemi bezwładne i nieprzytomne. Pobiegł do miasta, ludzi zwołał...

Zanieśli do domu kruszaka, który dwa miesiące ze śmiercią się mocował. Nie wie, gdzie jest, co się z nim dzieje. Czasem oczy otworzy mgliste, oczy bez światła, bez życia. Gdy obudził się pierwszy raz... Boże! Boże! Dwie chude, stare ręce jak do modlitwy na jego piersiach zaplecione. Drżą te stare, wychudzone ręce. Matka Marysi łka i płacze. Płacze bolem serdecznym; rozpaczą straszne, wykrzywione płaczem usta wołają:

— Synu! synu mój jedyny!

Żal okropny, żal tej staruszki kochanej. Nie wie, co ona u jego łoża robi, lecz wie, że serce się ściska, każda łza matki Marysinej w serce jego wpada, piecze i pali. Łzami tylko wybuchnąć. Płacz wyczerpał siły, zemdlał, zapadł w sen. Znowu gorączka, i sen, i przebudzenie, i spracowane, stare, wychudłe ręce i płacz.

— Synu! Jedyny synu!

* * *

Krył się przed ludźmi. Zdawało mu się, że świat go policzkuje. Wstyd go przed bliźnim. Wydaje mu się, że świat go policzkuje. Wstyd go przed tłum tysiącem rąk go wskazuje, tysiące palców na niego wskazują, śmiechem wykrzywione twarze mu urągają. Gdy wieczór zimowy zapadł, wymknął się z chaty i koło opłotków do chaty starejszego się skrada. Stanął pod oknem, słucha... Godzinki ktoś śpiewa: to on, przyjaciel, to jego głos.

Zawitaj Panno mądra, Domie Bogu miły,
Który złoty stół i siedm kolumn ozdobiły.
Od wszelakiej zarazy świata ochroniona,
Pierwej święta w żywocie matki, niż zrodzona...

Cicho uchylił ościeży; wnętrze chaty ciemne, w głębi człowiek siedzi. Do kolan jego przypadł Józef, nogi jego ściska...

— Ty, mój ojcze, przebacz!!

— Józef? Tyś?

— Jam.

— Tyżeś to?

— O przebaczenie cię, klęcząc u twych stóp, proszę.

Słychać głos pogodny, bratni, serdeczny...

— Wstań-no, wstań! I jabym tobie, drogi bracie, był krzyw? Toś człowiek zacny, toś człowiek uczciwy, toś dobra krew. A jeszcze pomnij i to, że ciebie, Józefie, rodzi Osiczanka, moja zaś matka...

— Zapomnisz?

— Ależ ja ani chwili nie pamiętałem.

— Czyż być może? Straszna wina moja!

— A straszna. No, ale czy to po próżnicy Pan Jezus kazał winowajcom....



Znalazł go pastuch na trzeci dzień...

Szamota się starejszy z człowiekiem,Józef jeszcze raz leci do kolan i do nóg, chwycił go olbrzymi, silny górnik w ramiona i do kolan upaść nieda. Ale dorwał Józef starejszego ręki, ucałował ją i uciekł...

* * *

Dnie próżniacze mijają na dziale, dnie oczekiwania mijają w komorze. Zdrowe ciało, zdrowa dusza garnie się do pracy, jako ta mrówka, która o pięć staj od gniazda znalazła suchą iglicę, wlecze ją do mrowiska i wlecze. Gdy czystą krynicę duszy zamąci złość i zgryzota, opadają ręce, w praszczęta idą ludzkie siły. — Nad krynicą dzwonki rosną, dziewanny i stokrocie, nad bagniskiem jaskier jadowity, skrzyp i wronie oko. Nieszczęście krynicę duszy w bagno zamieniła, zbrodnia na bagnisku rośnie. — Ohydna roślina piekła buja...

Wyszedł kruszak z działa, przy otwartym szybie stanął, echa uchem łowi. Codzień i codzień... Dziś ktoś idzie. Zdaleka słychać ludzkie kroki, kaganek Józef zagasił. Człowiek zbliża się ze światłem i zbliża, pierwsza iskra błysła w dyamencie soli, wnet białe światełko po ścianach się ślizga, jarzy się coraz jaśniej, wreszcie kagańca świeci się promienna gwiazda. Wytrzeszczył kruszak oczy w dal...

— To nie on.

Schował się za krokwie szybowe, górnik go minął, na prawo skręcił, światło maleje, światło znikło, dalekie echo kroków odchodzącego człowieka słychać. Ścichło wreszcie i echo, ciemność znowu zapanowała straszliwa.

Znowu światełko w dali błyszczy. Rozjaśnia się wnętrze chodnika, na wilgotne pale szybu blady płomień pada, świeci się w zaskórnych wodach, które po wyprawie ciekną. Obok kaganka zamigotała się iskra w błyszczącym, żelaznym obuchu...

Serce kruszakowi młotem zabiło.

— Pisarz!!!

Przyszedł pisarz do szybu. Józef zastąpił mu drogę, stanął przed jego obliczem.

— Czego chcesz odemnie?

Józef nie odrzekł zrazu nic. Długo się patrzył w jego źrenice, długo dech zbierał, wściekłość na krzywdziciela hamował, założył na piersiach spracowane ręce i zapytał się go wreszcie:

— Czy ty ją poślubisz?

— Jak śmiesz przemawiać tak do mnie? Ty, sługa, mnie panu na jedno mówisz?

— Jam nie twój sługa.

— Sługą jesteś i niewolnym chłopem.

Blada twarz Józefa zaśmiała się dziwnym śmiertelnym uśmiechem.

—Jam nie twój, jam królewski sługa.

— Szlachcicem jestem.

— Me mieszczańskie pergaminy starsze od twoich.

— Głupiś. Sejm walny w błoto rzucił twoje pergaminy. Zdeptał je.

— To prawda. Zdeptaliście prawo, zdeptaliście władzę królewską...

— Zdeptaliśmy? Bo tak nam się podobało.

— Czekajcie końca tej roboty.

— Czekamy. Ale, nim czekać zaczniemy, pytam ci się, czemu mi wchodzisz w drogę, czego chcesz odemnie?

— Powiedz mi, jasny panie, prawdę...

— Co chcesz wiedzieć?

— Czy ty ją poślubisz?

— Kogo?

— Maryś.

— Jaką Maryś?

— Tę, której serce oprządłeś, której serce zabrałeś...

— Powiedz jednak którą?

— Jakto którą? Wszak mówię. Ją... Marysię.

— Marysię?

— Tak jest.

— Którą? Bo ja mam pięć Maryś...

Dwie wilcze pochodnie w oczach kruszaka zaświeciły, jak burza zwalił się na pisarza, czarną górnicką ręką straszliwy policzek pisarzowi wymierzył.

Zachwiał się człowiek, ciało bezwładnie kilka kroków wstecz poleciało, z kagańca bluznął olej. Rzucił pisarz na ziemię kaganek, obuch żelazny w górę podniósł, w łeb mierzy. Spadło żelazo strasznem uderzeniem na kruszaka, ten jak kot od ciosu uchylił się, do kaganka skoczył, jarzące naczynie porwał, do szybu je rzucił. Zagasło światło, zadudniało w szybie, żelazny kaganek po wyprawie się obija, w przepaść leci, ciemność okropna przy szybie zapanowała. Niczem w niej obuch, niczem żelazo, nie widać nic, aż razi w oczy ta okropna ciemność.

Cisza zrazu, wnet ciszę przerywa smutne, łzawe pytanie:

— Czy ty ją poślubisz?

— Ogień zapal.

— Mów, czy ją poślubisz?

— Nie!!

— Ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie. Skrzesz ognia, bo łeb ci rozbiję.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



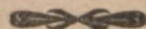
Podobni wiośnie.

Ci, którzy walczą piersią śmiałą
Z burzliwych wichrów huraganem,
I płyną czynów oceanem,
I gardzą czarnych chmur nawałą,
Do Krzyża tuląc się miłośnie —
Są równi wiośnie.

Jak ona rzuca kwiatów krocie,
Tak oni lilje wiary sieją,
I sercom, które mrą w tęsknocie,
Każą zakwitać znów nadzieją.
I jako ona życia czary
Tchną w półmrok szary.

Czemuż, o czemuż tak niewiele
Takich w dzisiejszej bywa porze,
Coby walczyli z życiem śmiele? —
Żeglując przez burzliwe morze
Obejmowali świat miłośnie
Podobni wiośnie ...

Z.



W krainie wojny.

Dr. Leonard Lorentowicz, powołany na plac boju do Mandżuryi następujące ciekawe donosi szczegóły z Charbina pod dniem 28-go lutego r. b. do „Kurjera Warszawskiego“:

Od pięciu tygodni jestem w Charbinie. Aż 47 dni zużyliśmy na przebycie przestrzeni, dzielącej Warszawę od miejsca naszej służby. Podróż była nader uciążliwa. Już od Czelabińska, t. j. przez całą Azję, jechaliśmy trzecią klasą. Na nasz protest dawano nam do zrozumienia, żeśmy powinni dziękować losowi, iż nam nie przeznaczono wagonu towarowego, jak to niejednokrotnie bywało z eszelonami, które nas poprzedziły. Trudno, trzeba było się pogodzić z przykrą rzeczywistością.

Wagony nasze (zmieniano je trzykrotnie: w Czelabińsku, w Irkucku i na stacji Mandżurja) były brudne, niewygodne, przeraźliwie turkoczące, przesiąkłe jodoformem — służyły bowiem do przewożenia ranionych — miały natomiast jedną dużą zaletę: były bardzo obszerne, co wyjątkowo może dla mnie, a właściwie 42 moich i niemoich pakunków, nie było zgoła rzeczą obojętną.

Jak było do przewidzenia, sprawa odżywiania się na stacjach kolejowych jest bardzo niemiła. Pokarmy zazwyczaj niesmaczne, nie świeże, źle przyrządzone, śmiertelnie monotonne. Po kilku próbach już patrzeć na nie nie mogłem. Tylko na pierwszorzędnych stacjach można było jadać obiady bez znacznej przykrości. Jak dotychczas, niestety, kolej syberyjska posiada ich niewiele, a przytem pociąg nasz naj-

częściej zatrzymywał się na nich w porze nocnej. Zwróciliśmy się tedy do konserw, a gdy i te się uprzykrzyły, wkrótce postanowiliśmy gotować sobie niby obiady w wagonie żołnierskim i byliśmy względnie zadowoleni z pomysłu. W Irkucku pociąg nasz zatrzymał się na dobę. Skorzystaliśmy z dniówki, aby obejrzeć miasto, oddzielone od stacji jedną z najpiękniejszych rzek na świecie — Angarą. Kry ogromne płynęły środkiem rzeki; przepowiadano, że stanie lada dzień. Statek rządowy utrzymywał prawidłową komunikacyę między miastem a stacją.

Gdyśmy ujrzeli przeczyste, szmaragdowe wody Angary, pozwalające na kilkunastosążniowej głębi rozróżnić każdy kamyk, każdą roślinę, każdy przedmiot na dnie leżący — okrzyki szczerego zachwytu co chwila wyrywały się nam z piersi. Podobnych wrażeń doznawałem niegdyś nad brzegami Renu.

W Irkucku spotkałem kolegów: Kozickiego, Masłowskiego, Szumkowskiego i Krzeczkowskiego, mających ordynować w wykończonych pośpiesznie szpitalach zapasowych. Wszyscy zdrowi i tęsknią do kraju...

Powrotna przeprawa przez Angarę o mało nie skończyła się dla nas bardzo tragicznie. Gdyśmy przybyli na przystań, objaśniono nas, że statek już nie kursuje ze względu na ogromną mgłę i rozpoczynający się wieczór. Eszelon nasz wyruszał w dalszą drogę następnego ranka, nie sposób więc było nocować w Irkucku. Przewoźnicy jacyś ofiarowali nam swoje usługi za mocno wygórowaną opłatę. Nieświadomi niebezpieczeństwa, pomimo przestróg, zgodziliśmy się na przeprawę łódką. Ruszyliśmy z miejsca dość chyżo w górę rzeki. Ale już wkrótce ogromne kry zatrzymały nas w biegu, z wielkim trudem upłynęliśmy jeszcze kilkadziesiąt sążni i stanęliśmy bez ruchu pośród piętrzących się dokoła odłamów lodu, z których każdy groził nam zmiażdżeniem lub wywróceniem niewielkiej łodzi.

Gęste opary, unoszące się nad rzeką, nie pozwalały nam ani zorjentować się, gdzie jesteśmy, ani upewnić, żeśmy płynęli we właściwym kierunku. Łodź trzeszczała pod naciskiem lodu, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę. Zmęczeni przewoźnicy przestali wiosłować, widząc pracę daremną. Jadący z nami jakiś właściciel statku na Bajkale podniósł jeszcze grozę chwili wyliczaniem corocznych ofiar Angary, rekrutujących się przeważnie z podobnych do nas śmiałków i zakończył swoją złowieszczą opowieść — fatalistyczną sentencją: „Raz tylko człowiek umiera...‘‘

Zimno dokuczliwe coraz dotkliwiej dawało się nam we znaki. Dzień był ciepły, wybraliśmy się dość lekko. Nagle oderwała się przed nami wielka kra i popłynęła z prądem wody zostawiając nam wolne przejście na przestrzeni około 20 sążni. Rybacy, zrzuciwszy kożuchy, znowu energicznie zabrali się do pracy, nam zaś kazali kołysać łodzią, aby łamać świeżo uformowaną warstwę lodu i tym sposobem tworzyć kanał, przez który łódź nasza mogłaby dalej posuwać się ku brzegowi. Po nadludzkich niemal wysiłkach przewoźników i czterech godzinach wspólnej pracy, cali skostniali, dostaliśmy się na brzeg przeciwległy. Dygocząc z zimna; z trudem stawialiśmy odrętwiałe nogi. Ciepły wagon wydał nam się wtedy pałacem.

Przestrzeń dookoła jeziora Bajkalskiego przebiegliśmy po torze zbudowanej w roku ubiegłym kolei obwodowej. Droga ta niewątpliwie zaimponuje każdemu, jako potężne dzieło genjuszu ludzkiego, który zdołał ją zbudować w bardzo krótkim przeciągu czasu, w nader nieprzyjaznych warunkach przebijając 30 tunelów w górach nadbrzeżnych, wznosząc 29 galerji sklepionych, sypiąc nasypy tuż nad brzegiem głębokiego jeziora, przerzucając kilkadziesiąt mostów nad potokami górskiemi.

A jednak strach bierze, gdy się pomyśli o przypuszczalnym stanie tej kolei podczas wiosennych roztopów lub podczas pory deszczowej. Niech ulewa podmyje nasyp, niech szyna pęknie na jednym z licznych zakrętów, a pociąg cały wpadnie w nurty górskiego jeziora, już przy brzegu liczącego kilkadziesiąt sążni głębokości. Drugie niebezpieczeństwo i, zdaje się, nieunikninone, to częste obrywanie się pod wpływem odwilży zwisających nad torem gór, miękkich, na każde uderzenie laską odpowiadających sypaniem miljona odłamków.

Co do siebie, wiem napewno, że wracać będę statkiem przez jezioro.

Do Charbina przyjechaliśmy d. 1. lutego. Polecono nam zająć cztery świeżo zbudowane baraki ogólne pod Starym Charbinem. Baraki, zbudowane pośpiesznie, zimą, na zmarzłej ziemi, o ścianach składających się z dwóch desek, przedzielonych warstwą ziemi, pełnych szczelin, mało się nadają bez odpowiednich przeróbek na kwaterę zimową. Pomimo ustawicznego palenia, ani sposób utrzymać znośnej temperatury. Rano budzimy się przy 5 stopniach niżej zera.

W ciągu dnia, kiedy się zrywa wicher północny, tumany kurzu bez trudu przenikają przez delikatne ściany, a my w ustach mamy pełno piasku. Powoli zaczynamy się przyzwyczajać do odmiennych warunków bytu. Bądź co bądź, położenie nasze w porównaniu z nieznmiernie ciężkiemi warunkami pracy kolegów na pozycjach musimy śmiało jeszcze nazwać świetnem. Zresztą obiecano nam dać wkrótce lepsze pomieszczenie w wykończonym obecnie baraku oficerskim. Szpital nasz nie funkcjonuje, jako nieurządzony i zapewne nieprędko rozpocznie swoją działalność. Zresztą większość szpitali charbińskich odpoczywa jeszcze po trudach jesiennych. Większość rannych i chorych ewakuowano z Charbina do szpitali, rozrzuconych po drodze syberyjskiej i wschodnio-chińskiej. Jesteśmy gotowi na przyjęcie kilkudziesięciu tysięcy rannych.

Przekonaliśmy się tu na miejscu, że wożenie do Charbina i nawet miast dalej położonych zapasów żywności, z wyjątkiem smakołyków, nie ma racji bytu. Wszystkiego tu dostać można. Ceny są wprawdzie wyższe, niż normalne, ale z wyjątkiem niektórych artykułów nie są stosunkowo zbytnio wygórowane. Podam kilka przykładów cen obecnych. Mięsa wołowego funt kop. 23, polędwicy kop. 35, kartofli pud. rb. 1, kapusty funt kop. 15, chleba pszennego funt kop. 10, ryżu funt kop. 20, mąki funt kop. 10, cukru kop. 25—35 (oficerowie i lekarze otrzymują miesięcznie po 7 funtów cukru), nafty funt kop. 14, mydła prostego — kop. 25, świec — kop. 50, litr mleka kop. 80 (!).

Oficerowie i lekarze, kupujący w moskiewskiem Towarzystwie ekonomicznem płacą za wszystko o połowę taniej.

Głód więc nam nie grozi...

Z dwudziestu szpitali, uformowanych w Brześciu, osiem ruchomych skierowano w stronę Mukdenu, dwom zapasowym—76-mu i 85-mu — przeznaczono na miejsce pobytu stację Echo, odległą o 340 wiorst od Charbina w stronę Władywostoku; pozostałych 10 zatrzymano tu na miejscu.

Przebywają obecnie w Charbinie następujący koledzy, świeżo przybyli: Drowie Anszer, Braunak, Fitkal, Helman, Zbrożek, Wajncjer, Nowiński, Modrzewski, Szpiganowicz, Karniewski, Bogucki, Kossowski, Sarnecki, Zakrzewski, Cegielski, Wajsberg, Rakowiecki, Reyment i z dawniejszych: Gurbski, Czerwiński, Banachiewicz, Grosglik, Warszawski, Rapaport i Endelman.

W kilka dni po przyjeździe zwiedziłem warszawski oddział sanitarny w

Starym Charbinie. Z przyjemnością stwierdziłem, że życzliwe uwagi korespondentów o nim są w zupełności usprawiedliwione. Oddział bowiem zarówno pod względem lekarskim, jak ogólnie sanitarnym jest urządzony wzorowo. Dla nas nadto, wytrąconych z normalnej kolei życia i rzuconych w warunki zgoła nam obce, posiada jeszcze jedną, nadzwyczaj sympatyczną cechę, pozwala w serdecznej, rodzinnej atmosferze rodaków zapomnieć na chwilę o żrącej nas tęsknocie do kraju.. Spotkałem tam kolegów Borsukiewicza i Majerczaka, chorążych J. Nowodworskiego i Roszkowskiego, kapitanów Załęskiego, Grabowskiego, Gumińskiego i innych.

Była to niedziela. Przed chwilą skończyło się nabożeństwo w kaplicy szpitalnej. Na sali ogólnej siostra Jakóbina gawędziła z żołnierzami, którzy przybyli na nabożeństwo niedzielne, wypytywała o troski, każdego obdarzała jakimś drobnym podarunkiem. Byli między nimi ranni, wracający na pozycje po wyleczeniu w szpitalach charbińskich, inni świeżo przybyli, znów inni kalecy, zwolnieni już od służby i powracający do kraju. Każdy z nich chętnie spowiadał się ze swoich udręczeń i nędz życiowych, rad, że może ulżyć wezbranemu bólem sercu, usłyszeć słowa pociechy i ukojenia.



W odmęcie walki.

Wojna obecna pełną jest szczegółów zadziwiających. Obie strony posiłkują się najnowszemi wynalazkami wojennemi, a równocześnie uciekają się do środków, używanych przed wiekami i obecnie zarzuconych. Wśród wojska japońskiego pojawiły się pancerze i szyszaki, nie mające znaczenia tam, gdzie kule pękają, ale oddające wielkie usługi, gdy walka toczy się pierś o pierś. A starcia takie w obecnej wojnie nie są wyjątkowemi.

Niesłychanie przykre były skargi rezerwistów, ludzi zazwyczaj już starszych, którzy z płaczem opowiadali o żonie i dzieciach, pozostawionych tam w kraju bez żadnych środków do życia, a listy nadchodzące często donosiły, że dzieci chodzą o proszonym chlebie.

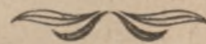
Zapasy siostry Jakóbiny już się wyczerpywały, a liczba nieszczęśliwych jej klientów niedzielnych wzrastała w miarę przybywania nowych wojsk z Królestwa.

Uważałem więc za najwłaściwsze wręczyć siostrze Jakóbinie część darów, złożonych na moje ręce w Brześciu, a obecnie zwróconych mi przez kolegów po przewiezieniu ich do Charbina. Resztę koledzy zabrali z sobą na południe i wschód. Wręczyłem siostrze Jakóbinie: 1) 9 worków bielizny i podarunków (z 20-tu przysłanych mi do Brześcia przez panią Annę Jaźwińską), 2) 2 skrzynki konserw (nadesłane przez p. A. Jaźwińską); 3) rb. 64 i worek bielizny (nadesłane przez p. Br. Okęcką); 4) 2 szafki z książkami; 5) 3 pudełka pięciofuntowe galaktonu (z 20-tu ofiarowanych przez p. J. Natansohna).

Wszystko to kropla w morzu, a nędzy tak dużo!

Od kilku dni trwożliwe wieści dochodzą do Charbina o spodziewanym napadzie 10-tysiącznego oddziału Chunchuzów na miasto nasze, idącego od strony Mongolji z pod Bodune. Baraki nasze stoją w szczerem polu — w razie napadu prawdopodobnie nie uszlibyśmy z życiem. Wojsko, przeznaczone na obronę miasta, dopiero w drodze. Załogom szpitalnym wydano ostre ładunki, każdemu po 120 sztuk; patrole chodzą dniem i nocą; część załogi stoi w gotowości do wymarszu...

Dr. Leonard Lorentowicz.



Dzień roboczy za granicą.

Niedawno temu szwajcarski sekretaryat do spraw robotniczych ogłosił nader ciekawe dane o pracy robotników płci męzkiej w różnych krajach. Według tych danych, najkrótszy dzień roboczy mają robotnicy w Stanach Zjednoczonych Ameryki i w Australii. Tak naprzykład, w Stanach Zjednoczonych ustanowiono dzień roboczy ośmiogodzinny dla wszystkich fabryk rządowych, przyczem w wielu stanach dzień taki obowiązuje i w fabrykach prywatnych, a mianowicie: w Kalifornii, Idaho, w Illinois, Indyanie, New-Yorku, Ohio, Pensylwanii, Wiskonsynie i Wyomingu.

W Connecticut obowiązuje prawo, że 8 godzin pracy należy liczyć, jako jeden dzień roboczy. W stanie Floryda natomiast dzień roboczy składa się z 10 godzin i za robotę nadprogramową robotnik ma prawo żądać dopłaty, jeśli nie było innej umowy w obecności przynajmniej jednego świadka. W Georgii czas roboczy uregulowano w ten sposób, że za normę przyjęto 66 godzin na tydzień. W fabrykach bawełnianych robotnik nie może być zatrudniany dłużej niż 11 godzin na dobę; wyjątek zrobiono tylko dla maszynistów i robotników zajętych naprawą uszkodzonych maszyn. W Illinois prawem polecono uważać płacę dzien-

ną za 8 godzin pracy, dokonanej między wschodem a zachodem słońca, jeśli umowa nie była zawarta, co do pracy nocnej; wyjątek stanowią tylko robotnicy rolni. Toż samo w Indyanie robotnicy wiejscy i służba domowa, nie korzystają z ośmiogodzinnej pracy.

W Luizyanie dla robotników na miejskich drogach żelaznych ustanowiono 12 godzin pracy z odpowiedniemi przerwami na śniadanie i obiad. Toż samo stosuje się i do stanów Kalifornia i Maryland, przyczem umowy, zawarte na większą liczbę godzin, uznawane są za nieważne. W stanie Maine za normę przyjęto dziesięciogodzinny dzień roboczy, jeśli w umowie nie zastrzeżono mniejszej liczby godzin; robotnicy rolni mogą pracować dłużej.

W Michiganie powszechnie obowiązuje dziesięciogodzinny dzień roboczy; za dłuższą pracę fabrykanci dopłacają. Obejście tego postanowienia w celu wyzyskania przykrej sytuacyi robotnika lub poszukującego pracy, uznawanem bywa, jako przestępstwo i podlega karze sądowej. Jednakże dzień roboczy dla służby domowej i robotników rolnych może być dłuższy. Jeśli w umowie nie zastrzeżono krótszej pracy, to w stanie New-Hampshire prawo uznaje dziesięciogodzinny dzień roboczy i nikt nie może być zmuszony pracować dłużej. W New-Jersey w r. 1892 dla wszystkich robotników fabrycznych ustanowiono normę 55 godzin tygodniowo. Ośmiogodzinna praca uznaną została prawem w Wyomingu dla górników, w Ohio dla górników, robotników fabrycznych i rzemieślników; w Pensylwanii — dla wszystkich robót, z wyjątkiem rolnych, jeśli robotnik nie pobiera płacy rocznej, miesięcznej lub tygodniowej. W stanie New-York za normę przyjęto 8 godzin, z wyjątkiem służby domowej i robotników rolnych. W piekarniach ustanowiono dziesięciogodzinną pracę; toż samo na kolejach. Na obiad fabryki dają najmniej 45 minut. W Texas dla robót w fabrykach rządowych ustanowiono 9-godzinny dzień roboczy.

Ze sprawozdań, złożonych przez gubernatorów władzom kolonialnym okazuje się, że ani w zachodniej, ani w południowej Australii niema rozporządzeń, co do normy czasu roboczego dla dorosłych. Jednakże przyjął się zwyczaj, że w zachodniej Australii za normę uważają 9 godzin, a dla robotników kolejowych i szosowych — 8 godzin. W południowej Australii wszędzie przyjęto 8 godzin. W nowym Południowym Wallisie jeszcze w r. 1890 ośmiogodzinny dzień roboczy wprowadzony dla 224 z pośród 343 kategoryi. Dla poszczególnych gałęzi przemysłu ustanowiono następujący czas roboczy:

	codziennie godzin	w sobotę godzin
wyr. fabryczn. ubior.	$8^1/_4$	$8^1/_3$
kapelusze damskie	9	4
szwalnie	$8^1/_4$	4
chustki wełniane	$10^1/_2$	$5^3/_4$
pralnie	10	—

Również i w Nowej Zelandyi jeszcze przed kilku laty dla wszystkich kobiet wprowadzono dzień 8-godzinny. W Quenslandzie dla robotników zatrudnionych w warsztatach skarbowych dróg żelaznych ustanowiono normę 48 godzin tygodniowo. Najdłuższy dzień roboczy ustanowiono dla piekarzy, a mianowicie w soboty 16—20 godzin, a w pozostałe dni 8—17 godzin. W Wiktoryi większa część przedsiębiorstw przemysłowych ma swoją organizacyę związkową, wskutek czego czas roboczy oznaczono na 8 godzin. Dla Chińczyków w Wiktoryi dzień roboczy zaczyna się o $7^1/_2$ z rana, a kończy o 5-tej po południu, w soboty o godz. 2-giej po południu, a w niedzielę i święta praca wzbroniona. W Indyach dla przędzalni prawo przepisuje 11-godzinny dzień roboczy, przyczem mężczyźni korzystają z $^1/_2$ godzinnego, a kobiety z $1^1/_2$ godzinnego odpoczynku.

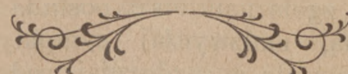
W Niemczech tylko w niektórych gałęziach przemysłu obowiązują rozporządzenia, ograniczające czas roboczy dla dorosłych mężczyzn. Tak np., w niektórych fabrykach luster od października do kwietnia, dzień roboczy oznaczono na 8 godzin, a od maja do września na 6 godzin. Po trzy lub czterogodzinnej pracy robotnicy korzystają z dwóch godzin odpoczynku. W tych zakładach, gdzie robotnicy wdychają w siebie rtęć, czas pracy może być ograniczony do 6 godzin. Do fabryk, produkujących ołów i wyroby ołowiane, również stosowane są liczne ograniczenia. W fabrykach akumulatorów za normę przyjęto pracę ośmiogodzinną. W przemyśle górniczym obowiązują różne postanowienia, wogóle jednak norma wynosi 10 godzin pracy, włączając też spuszczanie się do kopalni i powrót z niej; tam, gdzie wprowadzono pracę godzinną, spuszczanie się i powrót nie są wliczane.

W Anglii coraz bardziej rozpowszechnia się dzień 8-godzinny w zakładach i fabrykach rządowych i publicznych. Na poczcie już od lat kilku wprowadzono pracę 8-godzinną dla urzędników i oficyalistów. Na kolejach wszystkich oficyalistom przysługuje prawo apelacyi do ministeryum handlu, jeśli sądzą, że praca ich trwa zadługo. Ministeryum ze swej strony proponuje towarzystwu kolejowemu skrócenie czasu roboczego, a w razie niewykonania tego żądania, komisya kolejowa ustanawia program dnia roboczego, którego towarzystwo musi ściśle przestrzegać pod grozą odpowiedzialności sądowej. Dla palaczów na statkach praca trwa do chwili wypalenia 3 tonn węgla, w strefach zaś podzwrotnikowych $2^1/_2$ tonn.

W Belgii prawo oznacza czas roboczy tylko dla kobiet i małoletnich. W kopalniach „Ardoissieres reunies" niedawno wprowadzono pracę 8-godzinną. We Francyi urzędnicy kolejowi zajęci są 10 godzin. W Holandyi przy oddawaniu robót publicznych przedsiębiorcy, w kontrakcie robi się zastrzeżenie, iż robotnicy nie będą pracowali dłużej nad 11 godzin. W Norwegii czas roboczy prawnie uregulowany został tylko dla piekarń.

W Austryi prawo poleca fabrykom i zakładom przemysłowym, aby praca nie trwała dłużej ponad 11 godzin. Wyjątki mogą być tolerowane tylko na zasadzie specyalnych pozwoleń; na chwilowe przedłużenie czasu roboczego wymaganem jest pozwolenie właściwej władzy. Dla górników, bez różnicy wieku i płci, ustanowiono dla każdej zmiany 12 godzin, przyczem wszakże sama robota nie może trwać dłużej nad 10 godzin. W warsztatach wiedeńskich tramwajów miejskich w Rudolfsheimie wprowadzono pracę 9 godzinną, a w arsenale $9^1/_2$ godzinną.

W Szwajcaryi prawo ustanawia normę 11 godzin, a w wigilię świąt i niedziel 10 godzin; każdy robotnik korzysta rocznie z 52 dni wolnych od zajęć. W większości wszakże fabryk szwajcarskich robotnicy pracują 10 godzin, a w niektórych drukarniach tylko 9 godzin.



FIOŁEK.

Szedł anioł Boży o rannym wschodzie,
I z rąbka jasnej szaty
Rzucał po smugach w rajskim ogrodzie
Cudowne niebios kwiaty.

Gdzie stąpi, wokoło na traw zieleni
Pączki gorają, płoną;
Każdy się barwą tęczową mieni
Gwiaździstą lśni koroną.

Migają zwoje białej odzieży,
Łunami świecą drzewa,

Z harf lutni echem zdrój cicho bieży,
Chór niewidzialny śpiewa.

Przy krańcach raju, gdy anioł dźwięki
Chwytając, w myślach tonie,
Stanął i kwiat mu z przejrzystej ręki
Upadł na ziemskie błonie.

Ruń gęsta zbożne pokrywa łany,
Pękły liści osłonki.

Już modre, żółte pączki w rozkwicie
Zdobią smugi, dąbrowę.
Jak wielki ten, co od wieków życie
W prochu rozbudza nowe!

Nie zgaśnie raj dla tego w upadku,
Co płonie wiarą w Boga!

Za twą pokorę, żeś niżen srodze,
Cierpiący z mojej winy,
Nie sarkał w żalu, ja cię nagrodzę,
Wzniosę w cieniach doliny.



C. Reiz — **Nieporozumienie.**

Spojrzał ogrodnik świetlany z góry,
Tam, kędy w szarym pyle,
Kwiat jego, w barwie smutku ponurej,
Zgasł, czerniał na mogile.

W tem wietrzyk powiał, dogrzewa słońce,
Brzmi w gajach pieśń radosna.
Wieść niosą lotne skrzydlate gońce:
Wiosna powraca, wiosna!

Szumi las, szumi potok wezbrany,
Ścielą się trawą łąki,

— Bądź pochwalony, wszechświata Panie!
Rzekł wówczas kwiatek czarny —
Niech wola Twoja zawsze się stanie!
Przyjm oto mój dzięk ofiarny!

Chociaż w upadku z podniebnej strony,
Zgasły promienie moje,
Dozwól, bym w cieniu kornie schylony
Uwielbiał imię Twoje!

— Pan słyszy! — O kwiatku!
W tej czci nadzieja błoga!

Przesnuję barwę twoją zczerniałą
Rajskich wyżyn błękitem,
Rozświecę mych szat jasnością białą
I zórz porannych świtem.

Będziesz nad kwiaty w ziemskiej purpurze,
Nad pyszne tulipany,
Ponad wspaniałe stulistne róże
Więcej nam ukochany.

Kwitnij, rzeźwiony kroplami rosy,
W gaju, na łące, grobie!

Wonie, jak modły, wznoś pod niebiosy
W pogodnej wiosny dobie.

Odzyskasz wnet z barwami czystemi
Na zawsze promień złoty,
Bo znak, święte godło na ziemi
Skromności, wiary, cnoty.



Namiętności u dzieci.

Pogadanka pedagogiczna.

Współczesna pedagogika, opierając się coraz bardziej na gruncie psychologicznym, uczy nas, że nie należy lekceważyć najmniej napozór znaczących objawów życia wewnętrznego dzieci, w których światku wrą i huczą z równą gwałtownością te same złe namiętności, jakie napotykamy w świecie osobników dojrzałych.

Między innemi zwraca dzisiejsza pedagogika szczególną uwagę na objawy namiętności „sercowej'' u dzieci.

Miłość, owo odwiecznie stare uczucie, wzięte w znaczeniu hejnowsko-wolterowskiem, to jest: jako „namiętność'' i jako „kanwa, dana ludzkości przez przyrodę, a ozdobiona haftem naszej wyobraźni,'' nie jest wyłącznym udziałem wieku dojrzałego, zarówno bowiem w organizacyi psychicznej ludzi dorosłych, jak i dzieci, drga bezustannie cała fala najrozmaitszych uczuć, z których na pierwszy plan występują: miłość i nienawiść. Im więcej przytem jest rozwinięta wyobraźnia dziecka, z tem większą siłą i tyranią opanowują jego duszę namiętności, stawiając czoło młodego osobnika w mroczną otchłań występku: zabójstwa lub samobójstwa.

Lino Ferriani, prokurator królewski w Como, autor wielu dzieł z zakresu psychologii kryminalnej, twierdzi w ciekawem swojem studyum (La Revue), że wszelkie namiętności tego rodzaju, jak miłość, nienawiść i zemsta, występują u dzieci z większą o wiele gwałtownością, niż u ludzi dojrzałych, przyczem rozbudzenie uczuć sercowych bywa spowodowane głównie trzema czynnikami, a mianowicie: silnie zazwyczaj rozwiniętą wyobraźnią, brakiem wszelakich trosk codziennych, tudzież wysoką zdolnością przyswajania sobie pojęć nieznanych. Pod działaniem powyżej wymienionych czynników organizacya psychiczna dziecka w walce z namiętnościami może bardzo łatwo odegrać rolę stosu ułożonego z materyału palnego, na który rzucono płonące żarzewie, gdyż roztapiając się najzupełniej w świecie imaginacyi, pozbawiona jest ona w tych warunkach niezwykle ważnej interwencyi: uwagi zwrotnej czyli refleksyi poskramiającej zazwyczaj wielkie namiętności późniejszego wieku. Jak wspomnieliśmy wyżej, owo zarzewie namiętności, rzucone na grunt tak niezwykle podatny, jak natura dziecka, może wzniecić w młodej organizacyi prawdziwy pożar i przynieść szkody niepowetowane w postaci zaburzeń psychicznych, zboczeń woli, dochodzących wprost do najwyższego zepsucia i kompletnego zaniku elementarnych pojęć etycznych.

Widzimy dziś często rodziców, pisze Ferriani, którzy przez pewien czas czuwają troskliwie i rozumnie nad rozwojem duchowym dzieci, karcąc w nich zawczasu wszelkie wybryki wybujałego sentymentalizmu, kierując ich wolę i urabiając w nich to, co ogólnie biorąc zwie się charakterem. Ale w razie, jeżeli w dziecku rozbudziło się przedwcześnie uczucie erotyczne, jeżeli zazdrość, złość i ból opanowały jego organizacyę wewnętrzną, grożąc ponurym wybuchem natury psychicznej — jeżeli gwałtowne te namiętności osnuły duszę dziecka i omotały ją zgubną przędzą swoją — wtedy pogarda lub udana obojętność, stosowane zazwyczaj przez rodziców w charakterze środka leczniczego, chybiają celu, a zawsze przyczyniają się do pogorszenia psychicznej choroby dziecka, doprowadzając ją nieraz do tak wysokiego stopnia rozwoju, że nawet późniejsze porzucenie owej nawskroś antypsychologicznej metody leczniczej nie może już uchronić cierpiącego osobnika od śmierci moralnej.

Jak bowiem słusznie twierdzi Locke, dziecko wobec stosowanych względem siebie takich pseudo-środków poprawy, jak: pogarda, ośmieszanie, lub wreszcie zbywanie go bałamutnymi frazesami, uczy się prędko chytrości i kłamstwa, powiększając przez to samo i utrwalając tkwiący w jego duszy straszny zarodek zła i zguby.

Nie należy mniemać, głosi dalej p. Ferriani, że namiętności, goszczące w łonie dziecka, są ściśle dostrojone do jego ustroju fizycznego.

Bynajmniej tak nie jest, natomiast z powyższego, ogólnie biorąc, fałszywego twierdzenia wylania się jeden bardzo ważny szczegół, jedna niezbita i niezmiernie doniosła prawda, a mianowicie, że dziecko jest „człowiekiem'' w zmniejszeniu.

Tak jest! fizycznie słabszym człowiekiem, przystrojonym w szaty dziecięce, ale bądź co bądź człowiekiem, odpowiedzialną w przyszłości jednostką społeczeństwa, którą zatem traktować należy odpowiednio zawsze i wszędzie.

Co zaś dotyczy zdania, jakoby namiętności u dziecka stały w równowadze z jego ustrojem fizycznym, to jest ono bardzo błędne, gdyż w łonie dziecięcem toczą się równie gwałtowne i równie wielkie boje namiętnościowe, jak te, które powstają w duszy człowieka obarczonego długiem pasmem lat i złamanego walką życiową, z tą jednakże różnicą, że u dziecka żadna zbawienna reakcya wewnętrzna nie może rozwojowi ich stanąć na przeszkodzie: ani wykształcenie, ani doświadczenie, ani wreszcie wspomniana przez nas powyżej „uwaga zwrotna,'' czyli refleksya. Usilne kształcenie tego ostatniego objawu życia umysłowego u dzieci należy do najniezbędniejszych i najpotężniejszych środków akcyi ochronnej.

Jak wiadomo, dzięki owej uwadze zwrotnej, zdaje sobie człowiek „coraz szerszą i głębszą sprawę ze swego życia umysłowego, wnika w czynności, wywołujące wytwory swej działalności, i zastanawia się nad ich doniosłością i skutkami. Przez to zaś dochodzi zarazem do coraz większej samodzielności, do panowania nad sobą i do kierowania swemi działaniami według ogólnych celów istnienia'' (H. Struve.)

To też nazywając słusznie refleksyę „życiem duszy'', twierdzi Ferriani jednocześnie, iż dusza wymaga tak samo swego pokarmu, jak i ciało.

A tymczasem dusza dziecka, że tak powiemy: „nie odżywiana prawidłowo,'' staje się często pastwą namiętności erotycznej i w ślad za nią podążającej siostrzycy jej — zazdrości, która znów ze swej strony, w razie jeżeli młody osobnik wzrasta na łonie rodziny zdemoralizowanej i zepsutej, popycha go łatwo do zemsty, objawiającej się często w przestępstwach, wykonywanych z tak zdumiewającą premedytacyą i ohydą, do jakiej nawet najbardziej wyrafinowany zbrodniarz dorosły rzadko byłby zdolny. Premedytacya ta świadczy, do jak wysokiego rozwoju podstępu dojść może dziecko, pod względem psychicznym rozwinięte anormalnie; przytem należy dodać, iż owa chytrość wyradza się z bardzo ważnej racyi psychologicznej, a mianowicie: w celu dopełnienia luki, wytworzonej przez brak sił fizycznych. „Podstęp jest bronią słabych'' — głosi Lombroso, a twierdzenie to przy dzisiejszym rozwoju nauki doświadczalnej może być uważane prawie za pewnik.

W dalszym ciągu interesującego swego studyum, opierając się na Mantegazzie, który twierdzi, że za najlepszy materyał do badań świata dziecięcego posłużyć mogą listy małych osobników, zawierające wylewy uczuć sercowych, podaje pan Ferriani ciekawy

szereg listów miłosnych, pisanych przez dzieci płci obojej, od lat 9 do 13.

Listy te, odpowiednio poprawione pod względem ortograficzno-stylistycznym, dzieli pan Ferriani na dwie grupy główne, t. j. na korespondencyę pochodzącą od osobników psychicznie anormalnych, tudzież od osobników normalnych, ale przeczulonych.

Na pozór bardzo do siebie zbliżone pod względem objawianego w sobie uczucia zazdrości różnią się pomiędzy sobą te dwie grupy zasadniczo.

W pierwszej znajdujemy listy pełne groźb i brutalnych wyrażeń, świadczące o kryminalnej przyszłości autorów; druga grupa obejmuje listy treści sentymentalnej, pełne niezwyklej melancholii, z częstemi zapowiedziami samobójstwa.

Wnikając w treść owych listów, doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy przerzucali kartki fantazyjnego i nieprawdopodobnego romansu kryminalnego, a to dlatego, że świat dziecięcy znamy po większej części jedynie powierzchownie, że rzadko wnikamy weń głębiej z pochodnią psychologii doświadczalnej w dłoni.

J. O.

Plamy na słońcu.

(Pogadanka naukowa).

W ciągu lutego r. b. astronomowie obserwowali na słońcu olbrzymią plamę, która przesuwała się powoli od wschodniego krańca tarczy słonecznej ku zachodniemu. Plama ta zmieniała wciąż swój kształt. — Załączony rysunek przedstawia plamę w takiej postaci, w jakiej odfotografowano ją w połowie lutego.

Jak ogromną jest ta plama, wystarczy tylko zaznaczyć, że obliczenia, dokonane w połowie lutego, wykazały, iż zajmuje ona przestrzeń, wynoszącą dziewięć miljardów, ośmset miljonów klm. powierzchni. Powierzchnia całej kuli ziemskiej parę razy zmieściłaby się w powierzchni owej plamy słonecznej. (Patrz maleńkie kółko, umieszczone na rysunku z boku, przedstawiające wielkość obwodu kuli ziemskiej w stosunku do wielkości plamy.)

Obecnie plama ta zniknęła, a raczej przesunęła się od strony zachodniej ku wschodniej. Pod koniec okresu, widocznego z ziemi, wielka plama rozdzieliła się na kilka oddzielnych, z których każda miała osobne „jądro,“ jak astronomowie nazywają środkową część plamy, ku której od brzegów dążą olbrzymie języki płomienne.

Czem są owe plamy, napewno nie jest wiadomem. Istnieje przypuszczenie, że są to pewnego rodzaju wulkany, utworzone nie z materyi stałej, lecz z gazu, płonącego przy nadmiernie wygórowanej temperaturze. Pomimo gorąca nadzwyczajnego, gazy owe mają stosunkowo niewielką siłę świetlną, — stosunkowo, bo nawet „ciemnej plamy“ gołem okiem trudno byłoby dojrzeć. Niemniej jednak skutkiem małego napięcia siły świetlnej, w miejscu owych wybuchów tworzy się powierzchnia, mająca z ziemi wygląd plam.

Nauka dowodzi, że plamy słoneczne są objawem wzmożonej czynności słońca, czego znów następstwem są upały, dające się odczuwać na ziemi. Zeszłoroczne susze zapowiedziane były na kilka miesięcy z góry — przynajmniej w przypuszczeniu — tak samo też ogromna plama, obserwowana w zeszłym miesiącu, każe przypuszczać, że i tegoroczne lato będzie bardzo gorącę.

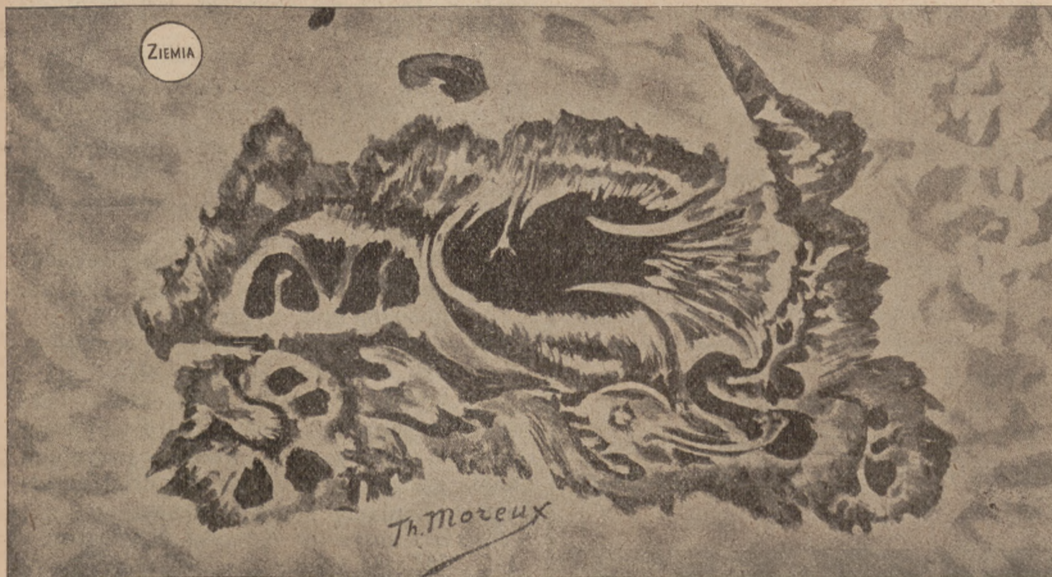
Czy będzie suche, to rzecz inna, na obfitość bowiem opadów atmosferycznych wpływają różne przyczyny, niezależne od plam na słońcu.

Wogóle, jak twierdzą astronomowie weszliśmy obecnie w okres upalny, trwający już od dwóch lat. Okres taki, łączący się ze wzmocnioną czynnością słońca, trwa zazwyczaj przez lat jedenaście. W tym też czasie pora letnia, zarówno na północnej, jak i na południowej półkuli, jest bardzo upalna.

Wzmożonej czynności słońca, a więc i plamom słonecznym, towarzyszą zazwyczaj wielkie zaburzenia atmosferyczne na naszym globie, burze, orkany, a nawet trzęsienia ziemi. Jaki jest związek pomiędzy temi objawami, nauka dotychczas nieokreśliła. Istnieją rozmaite w tym zakresie przypuszczenia, a na ich podstawie „przepowiadacze pogody“ formują swoje przepowiednie.

Plama obserwowana w ciągu lutego na słońcu, po upływie pewnego czasu, prawdopodobnie w kwietniu znów się pojawi na zachodnim krańcu kuli słonecznej. Jeżeli rozmiary jej i siła tak będzie wielką jak w lutym, można ją będzie oglądać bez pomocy specyalnych aparatów, lecz przez zwykłe szkło nad świecą okopcone.

Z.



Plama słoneczna, obserwowana w ciągu lutego r. b.



Ś. p. ks. kanonik

Maciej Konstanty Krępeć.

radzca konsystorski, prokurator kapituły poznańskiej, umarł w Poznaniu dnia 30-go z. m. ku wielkiemu żalowi konsystorza, całego duchowieństwa i wszystkich wiernych, którzy wspólnie opłakują zgon tak zacnego dostojnika Kościoła. Zmarły urodził się w roku 1828, wyświęcony został r. 1853, otrzymał instytucyę na kanonika w r. 1893. Dzielny Polak, gorący patryota, człowiek serdeczny, kapłan zacny i wzorowy otoczony był ogólnym szacunkiem i przywiązaniem. Ulubioną jego świątynią był kościół Panny Maryi na Tumie, gdzie odprawiał mszę świętą. Umarł dwa dni przed końcem miesiąca nominacyi rządowej.

Eksportacya odbyła się dnia 2-go b. m. po południu przy ogromnym udziale publiczności nie tylko z miasta, ale i z okolicy. Już na godzinę przedtem, zapełniony był cały plac tumski. Eksportował Najprzew. ks. biskup Likowski w asyście członków kapituły i licznego duchowieństwa miejscowego i zamiejscowego. Wśród bicia dzwonów wniesiono trumnę ze zwłokami do katedry i ustawiono ją na katafalku, poczem duchowieństwo odprawiło ceremonie kościelne.

Wspaniałemu orszakowi żałobnemu przyglądał się z okna Najprzewielebniejszy ksiądz Arcypasterz dr. Stablewski, który w zmarłym kanoniku stracił serdecznego przyjaciela.

Dnia 3-go b. m. przed południem odbył się pogrzeb. Zjazd duchowieństwa jeszcze większy, udział publiczności również wielki. Mszę żałobną odprawił ks. kanonik Dombek, mowę wygłosił ks. kanonik Dalbor. Zwłoki złożono w podziemiach katedry, dokąd je odprowadziło duchowieństwo z Najprzew. ks. biskupem na czele.

Cześć pamięci dzielnego Polaka i zacnego kapłana! Wieczny spokój Jego duszy!

* * *

Sp. Stanisław Knapowski

był dzieckiem miasta Poznania. Z natury obdarzony bystrym umysłem spostrzegawczym, już jako młody drukarz z zawodu pracował nad sobą, żeby własną pracą zdobyć sobie większy zasób ogólnej oświaty. Był jednym z tych, w których sercu już za młodu goreje miłość sprawy narodowej i budzi się zmysł obywatelski. wszystkie sprawy narodowe ogarniając umysłem, łączył się z innymi w pracy około dobra ogółu.

Takim był już za młodu. Skończywszy naukę w drukarstwie, poszedł rychło na obczyznę i tam przyglądał się, jak ludzie najbliżej niego stojący pracują. W owym czasie pisywał z Kolonii artykuły do „Orędownika“ o naszych wychodźcach, szukających w głębi Niemiec chleba, i o potrzebach narodowych rzemieślników i robotników.

Po powrocie do Poznania pracował przez dłuższy czas stale w drukarni „Dzien. Pozn.“ Tu oddał się całą duszą młodemu Towarzystwu Młodych Przemysłowców, którego był kilka razy wiceprezesem i prezesem. Na tem polu rozwinął największą czynność swoją wraz z innymi pracownikami dążącymi w tym samym kierunku. Razem z nim nie ustawali oni w pracy. aby w warstwach średnich, rzemieślniczych podnieść nie tylko żywe poczucie narodowe, ale także samodzielność obywatelską.

Przed laty 16 założył „Postęp;“ był przy nim wydawcą, redaktorem, ekspedytorem i drukarzem.

W zmarłym traci społeczeństwo męża niemałych zasług, gdyż należał on pomiędzy innymi do pionierów ruchu ludowego, a stał twardo przy sztandarze ludowym mimo gromów i zatrutych pocisków, jakich nie szczędziły organa konserwatywne przywódzcom ludowym. W tym czasie przełomowym, śp. Stanisław nie ustąpił ani na krok od swych przekonań politycznych i trzymał wysoko chorągiew stronnictwa ludowego.

Zmarły znany był także ze swych mów wiecowych, pełnych gryzącej ironii i chłoszczących w sposób nadzwyczaj dowcipny twierdzenia rozmaitych hakatystów. Przed 3 mniejwięcej laty powiedział on w jednej z takich mów na sali Bazarowej: „Hakatyści i ministrowie głoszą, że chcemy odzyskać niepodległość. Nie, my do tego nie dążymy, bo nie mamy siły po temu, ale jak się Panu Bogu będzie podobało przywrócić Polskę wolną i niepodległą, to mu z pewnością przeszkadzać nie będziemy.“

W ostatnich kilku latach ciężko zaniemógł. Od roku przeszło leżał złożony ciężką chorobą. W tych dniach stracił ukochaną żonę i w dwa dni po jej pogrzebie zamknął oczy na wieki.

Pogrzeb odbył się w dniu 31-go z. m. po południu przy bardzo licznym udziale publiczności. W domu żałoby przy ulicy Kopernika pożegnał zmarłego jeden z wybitnych członków stronnictwa ludowego, p. *Marcin Kaniasty*. Kondukt pogrzebowy prowadził proboszcz kościoła Bożego Ciała ksiądz *Kostencki* w asyście czterech duchownych. Na czele postępowali członkowie Towarzystw z miasta i przedmieść a nawet z Rataj pod Poznaniem, gdzie ś. p. Knapowski założył Towarzystwo przemysłowe. Niesiono też 13 sztandarów żałobnych i kilka pięknych, wielkich wieńców. Za trumną postępowały 4 córki i chłopczyk, którzy w ciągu tygodnia utracili obojga rodziców, a za nimi postępowała wielka liczba przyjaciół, znajomych i życzliwych ś. p. Knapowskiemu. Zwłoki złożono na nowym cmentarzu świętomarcińskim obok przed kilku dniami pochowanej małżonki zmarłego. Przed spuszczeniem zwłok do grobu członkowie Koła śpiewackiego pożegnali śpiewem zmarłego.

Cześć Jego pamięci!

Wieczny spokój Jego duszy, a światłość wiekuista niech Mu świeci na wieki!

Wiadomości.

— **Dobra Studzinieckie z przyległościami w obwodzie Opolskim na Górnym Śląsku**, nabyte z rąk niemieckich przez *Dom bankowy Drwęski & Langner* w Poznaniu w celu parcelacyi, — już sprzedano dalej.

Główny folwark a mianowicie *wieś rycerską Studziniec z folwarkiem Nowyświat*, 1600 mórg najprzedniejszej ziemi z pięknem zabudowaniem, okazałym dworem, wielką parową gorzelnią, cegielnią itd. nabył *rodak nasz pan Józef Dąbrowski*, dzierżawca dóbr Józefowo z pod Ostrowa; resztę majątku rozkupili przyległi polscy gospodarze.

W p. Dąbrowskim zyska Górny Sląsk pierwszego większego obywatela ziemskiego, a szczerego Polaka, ---- o którego z całem zaufaniem oprzeć się mogą okoliczni mali gospodarze polscy. Należy się też wszelkie uznanie p. Ganowiczowi z Poznania, który prawdziwie po obywatelsku w imię dobrej sprawy bezinteresownie nietylko dopomógł p. Dąbrowskiemu, swemu krewniakowi, do nabycia tegoż majątku, ale zarazem p. Dąbrowskiego materyalnie tak postawił, że tenże nie potrzebuje się oglądać na obcych, To też jesteśmy moralnie przekonani, że p. Dąbrowski godnie reprezentować będzie sprawę polską na Górnym Sląsku.

Cześć panu Ganowiczowi za jego bezinteresowny czyn obywateski a p. Dąbrowskiemu jako nowonabywcy na Górnym Sląsku „Szczęść Boże“!

— **Pana Jana Tomaszewskiego**, byłego wydawcę i redaktora „Tygodnika Polskiego“, (pismo to od 1-go b. m. przestało wychodzić), skazała tutejsza izba karna na 300 marek grzywny za zamieszczenie w nr. 26-ym z roku zeszłego utworu poetyckiego Lucyana Rydla p. „Złóbek“, w którym dopatrzono się rzekomego „podburzania do gwałtów“. Pierwszy prokurator wzniósł o 3 miesiące więzienia. Oskarżonego dzielnie bronił poseł mecenas p. Bernard Chrzanowski.

— **Pensya pani Antoniny Estkowskiej** zamknięta została dnia 31-go z. m. po poprzedniem udzieleniu uczennicom zakładu pierwszej komunii św. w kaplicy św. Józefa i po wybierzmowaniu w tejże kaplicy przez ks. biskupa Likowskiego przeszło 100 panienek.

Na pensyi pani Estkowskiej wychowywały się przez długie lata całe pokolenia naszej młodzieży żeńskiej. Szanownej Jubilatce złożyło grono pań, mianowicie byłych uczennic, w dniu 6-ym b. m. uznanie w poczet zasług na polu pedagogicznem.

— **Na potrzeby biura informacyjnego** wpłacił p. Stanisław hr. Kwilecki mk. 20.

Poznań, dnia 31 marca 1905

Polski Centralny Komitet Wyborczy.
M. Więckowski, skarbnik.

— **Firmie Dankowski i Sp.**, która *bezpłatnie* umeblowała nasze Biuro informacyjne i tem samem wielką przysługę oddała sprawie naszej, na tej drodze serdeczne składamy podziękowanie.

Polski Centralny Komitet Wyborczy.
M. Więckowski, skarbnik.

— **Wydawnictwo** „Postępu“ po śmierci ojca przejęły pp. Zofia i Kaźmira Knapowskie i w imieniu pozostałego rodzeństwa dalej je będą prowadziły. Redaktorem pozostaje nadal pan Stefan Chociszewski.

— **Nowy sprzedawczyk.** Komisya kolonizacyjna kupiła od p. Ignacego Knasta majątek Drachowo w powiecie witkowskim, obejmujący około 400 mórg, za 190,500 mk. Pan Knast niedawno nabył ten majątek za 125,000 mk.

Te pieniądze szczęścia mu nie przyniosą!

— **Z folwarku Mokronosy** w powiecie wągrowieckim rozkupili w pojedyńczych parcelach Polacy 500 mórg, resztę roli 300 mórg wraz z budynkami nabył właściciel p. Różański.

— **Mieczarnię w Niechanowie** w powiecie witkowskim sprzedał właściciel p. Pogorzelski rodakowi. Groziło niebezpieczeństwo, że ta własność przyjdzie w obce ręce.

— **Niezwykle piękną** serye pocztówek wielkanocnych i na Zielone Świątki wydał *zakład chemigraficzny Antoniego Fiedlera w Poznaniu przy ul. Berlińskiej 5.* Pocztówki te zasługują na gorące polecenie, ponieważ w przeciwieństwie do szerzącej się u nas tandety niemieckiej opierają się na motywach i zwyczajach polskich, a nadto są wytworem polskiego przemysłu artystycznego. Szczególniej pp. kupcy powinni pamiętać, że nietylko publiczność konsumująca, ale także oni mają obowiązek społeczny popierania przemysłu polskiego, tem bardziej, że pan Fiedler wydawnictwa swoje oddaje jedynie hurtownie do dalszej sprzedaży.

— **Na rzecz weterana** z roku 1863-go, znajdującego się w bardzo opłakanym stanie (patrz u „Wiadomości“ w nr. 12-ym „Pracy“) złożyła w dalszym ciągu pani A. Łucka w Stanisławowie (Galicya) 2 mk. Razem dotychczas złożono na ten cel 32 mk. Dalsze datki przyjmujemy.

— **Odznaczenie przemysłu polskiego.** Na międzynarodowej wystawie w Lipsku która odbywała się pod protektoratem saskiego króla Fryderyka Augustyna, od dnia 18-go do 27-go marca i w której około 1000 niemieckich i zagranicznych firm udział brało, wystawiła *jedyna polska firma Domagalski i Ska. w Poznaniu* (pierwsza poznańska fabryka parowa olejí eterycznych, esencyi, farb nietrujących, destylarnia koniaku i parowa miodosytnia) swoje wyroby i uzyskała znów uznanie honorowe. Na wystawie tej przeszło 120 firm nie otrzymało premii.

— **Gniezno.** Córka szewca p. Kozerowskiego, która pojedyńczo uczyła dzieci czytać i pisać po polsku, została wezwaną na policyą na przesłuchy, jak również dzieci, które na naukę uczęszczają.

— **Strzelno.** (**Ruch wychodźczy**). W czterech dniach w zeszłym tygodniu wyjechało ztąd przeszło 280 robotników i robotnic pochodzących z Królestwa Polskiego na robotę do Niemiec. Mężczyzn jest bardzo mało, wyjeżdżały przeważnie kobiety i młode dziewczyny.

— **Kościan.** Listowego Adamskiego tuztąd przesiedliła władza aż do Koblencyi w prowincyi nadreńskiej i to od 1 kwietnia rb. Jak się zdaje po przesiedleniu wyższych urzędników przychodzi obecnie kolej na listowych.

— **Skoki.** Kupiec Markiewicz kupił od właściciela dóbr tutejszych parcelę 4 morgową, która leży tuż przy tutejszym dworcu kolejowym. W tem miejscu zamierza nowonabywca założyć przedsiębiorstwo przemysłowe.

Gospodarz Ziebold z Potrzanowa sprzedał swoje gospodarstwo szewcowi Ratajczakowi z Długej Gośliny za 8400 mk.

— **Inowrocław.** Kapitalistka Karolina Kröner sprzedała posiadłość swoją za 15 000 marek dorożkarzowi Antoniemu Dzikowskiemu tu stąd.

— **Bydgoszcz.** Możeby ten rodak, który się chce osiedlić w Księztwie, spróbował tutaj w Bydgoszczy. Powodzenie, jeżeli jest doskonałym zegarmistrzem, miałby pewne. Czytelnik „Pracy“

— **Znin.** Na kościół w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. T. Kończal z Podgórzyna 2 m., E. Cynalewski z Żnina 5 m., N. Wituska z Inowrocławia 2,90 m., S. Marczak z Rożejewiczek 3 m., J. Strużykiewicz 55 fen., W. Karpiński 50 fen., S. Sosiński, M. Dreheim po 60 fen., A. Kabaciński 50 fen., A Karpiński 10 fen., S. Waliński, St. Walla po 25 fen. — wszyscy z Rzymu pod Rogowem, M. Jankowski i W. Boiński z Piastowa, M. Piechocka z Wiktorowa, W. Olszewska z pod Kostrzyna po 1 m., za pośrednictwem „Lecha“ w Gnieźnie 8 m., N. N. z Gołuchowa 1 m., M. Stępczyński z Huckarde w Westfalii z prośbą o zdrowie.

„Bóg zapłać!“ Proszę uprzejmie o dalsze składki. — Każdy ofiarodawca otrzyma piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej i obszerną broszurkę o Żninie.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

— **Gdańsk.** *Dola redaktora polskiego.* Za obrazę X. Schroetera z Oliwy, której dopatrzył się X. Schroeter w artykule dotyczącym zabawy zeszłorocznej Towarzystwa „Jedność“ w Oliwie, skazanym został redaktor „Gazety Gdańskiej“ p. Wróblewski na 3 miesiące więzienia.

— **Z Westfalii.** Na kopalni „Ewaldt“ w okręgu westfalskim Recklinghausen wydalono z pracy 228 górników z niewiadomych powodów. Wydaleni udali się z zażaleniem do posła tego okręgu, p. Brosta, w sejmie pruskim.

— **Ilmenau (Turyngia).** Przed tutejszą komisyą państwową zdali egzamin na inżynierów elektrotechniki rodacy: pp. Rawicz-Kostro Tadeusz z Poznania, Skotarek Stanisław z Poznania Migdalski Albin z Bytomia.

— **Kraków.** Pogrzeb ś. p. Walerego Eljasza-Radzikowskiego odbył się 26 z. m. po południu z domu żałoby przy ulicy Karmelickiej. Przy wyniesieniu zwłok pożegnał zmarłego imieniem Tow. tatrzańskiego wiceprezes prof. dr. Ponikło. Orszak pogrzebowy otwierał oddział „Sokoła“, dalej szła orkierska „Sokoła“, grająca marsze żałobne: za orkierską deputacya górali zakopańskich, złożona ze znanych przewodników: Bartłomieja i Jana Obrochtów, Szymona Tatara i Klimka Bachledy, niosąca wieniec z kosodrzewiny z napisem na wstęgach: „Górale tatrzańscy swojemu ojcu i opiekunowi“. Kondukt żałobny prowadził ks. kanonik dr. Czesław Wądolny, poprzedzony licznem duchowieństwem świeckiem i zakonnem, wśród którego był wiceprezes Tow. Tatrzańskiego ks. kanonik Sobierajski. Za trumną szła rodzina, wiceprezes Tow. tatrzańskiego prof. dr. Ponikło z członkami wydziału i licznem gronem członków Towarzystwa, liczni wybitni mężowie, artyści-malarze i bardzo liczny zastęp obywatelstwa. Zwłoki złożono na cmentarzu krakowskim.

— **Częstochowa.** W sprawie Jasnej Góry mieszkańcy tutejsi przesłali generał-gubernatorowi warszawskiemu podanie następujące:

„W niewielkiem oddaleniu, nie przewyższającem 700 stai od klasztoru Jasnogórskiego, w którym przechowuje się obraz Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, znajduje się skład materyałów wybuchowych na potrzeby miejscowej załogi wojskowej. Chociaż skład ten, co prawda, troskliwie jest otoczony, jednakże zawiera on w sobie straszną, dotychczas martwą siłę. Oswobodzona nieszczęśliwym wypadkiem, lub ręką zbrodniczą, grozi ona nieuniknionem rozwaleniem klasztoru i zniszczeniem drogiego wizerunku Matki Boskiej, przed którym korzy się cały naród chrześciański. Niebezpieczeństwo, grożące od tego przypadkowego sąsiedztwa, uznaje każdy myślący człowiek, bo przecież kronika wypadków świata naszego pełna jest przykładów wybuchu składów z prochem. Lud prosty, setkami tysięcy przybywający corocznie dla celów religijnych, instynktownie odczuwa ze strony składu niebezpieczeństwo i uczucie to nie pozwala mu zupełnie oddać się modlitwie, pozbawiając go błogiej pociechy, którą miał nadzieję z przed cudownego oblicza Bożej Rodzicielki zanieść do chaty rodzinnej. Wszystkie te przyczyny, jak również troska o bezpieczeństwo najdroższego dla chrześciaństwa wizerunku, zniewala nas, obywateli i mieszkańców, zwrócić się z prośbą o przedsięwzięcie zależnych od waszej ekscelencyi środków, aby omawiany w niniejszym skład materyałów wybuchowych w możliwie blizkim czasie był przeniesiony na miejsce więcej bezpieczne zdala od klasztoru.“

— **Paryż.** *(Pomnik gen. Lipowskiego.)* Dnia 5 z. m. odbyło się na cmentarzu montparnaskim odsłonięcie pomnika Eugeniusza Lipowskiego, „obrońcy Chateaudun“. Syn emigranta z roku 1831, mieszkał w stolicy departamentu „Eure et Loir“, gdy nadszedł „straszny rok“. Po klęsce sedańskiej małe miasta francuskie bez oporu żadnego poddawały się zwycięzcom. Jedynie Chataudun broniło się dzielnie przed zastępami generała pruskiego v. Witticha, który rozwścieczony oporem, zniszczył miasto do szczętu. Mieszkańcy Chateaudun nie mieli wielu naśladowców; stąd obrona miasta nabrała wielkiego rozgłosu i należy do wybitnych faktów wojny francusko-pruskiej.

Zasługa należy się w całości Lipowskiemu, który nakłonił radę miejską do niepoddania się, zorganizował całą obronę z wolnych strzelców i gwardyi miejskiej i stanął na jej czele. Rząd tymczasowy mianował go w nagrodę generałem, gdy jednak po zawarciu pokoju komisya wyznaczona do rewizyi awansów z czasu wojny, tej nominacyi nie zaakceptowała, rozżalony Lipowski podał się do dymisyi i w ciszy i zapomnieniu życia dokonał.

Pomnik z kamienia różowego, ozdobiony popiersiem generała, dłuta rzeźbiarza Batte, wzniesiono staraniem rodziny i przyjaciół zmarłego. Na odsłonienie stawiło się osób około dwudziestu, wśród nich uwagę zwróciło kilkunastu wolnych strzelców (franc-tireur'ów) Lipowskiego w swych fantazyjnych uniformach. Wygłoszono trzy mowy, żaden jednak z mówców nie wspomniał o polskiem pochodzeniu bohatera.

Swieżo odbył się tutaj *wiec w sprawach polskich.* Znamienne było przemówienie profesora Sorbony paryskiej, Seignobos'a na temat „O Polsce i kobietach polskich“. Oto słowa mówcy:

„Polska ocaliła swą narodowość; a ja całem sercem się z tego raduję, gdyż jestem nacyonalistą polskim. Francuskim nacyonalistą nie jestem: Francuz nie ma prawa być nim, gdyż kraj nasz nie jest w niewoli. Lecz jak są wojny uprawnione,

mianowicie wojny obronne, walki patryotów francuskich z r. 1793 i w tymże czasie walki Waszego wspaniałego patryoty Kościuszki, tak również istnieje i nacyonalizm niezbędny: jest nim nacyonalizm obronny. Naród, który chce żyć, ma prawo posługiwać się tym nacyonalizmem.

Więcej może, aniżeli inne czynniki, ocaliły Polskę kobiety polskie: Polka, w której przywykliśmy wielbić jedynie kobietę najwykwintniejszą i najpiękniejszą w Europie, okazała się również patryotką najwytrwalszą i najśmielszą; Polka uchroniła od zguby język, ona go utrzymała jako mowę ojczystą Polski; ona jest uosobieniem narodowości polskiej, którą zachowała."

Niech się teraz nasze Polki starają, aby na tę pochwałę zasłużyły!

Ruch w Towarzystwach.

— **Gniezno**. Tutejsze Tow. Pań Miłosierdzia obchodzi w roku bieżącym 50 letnią rocznicę założenia. Na uczczenie dnia ma się odbyć wieczór literacko-muzyczny.

— **Trzemeszno**. W mieście naszem zawiązało się Towarzystwo kupieckie, które powinno rozwijać się szczęśliwie. Na członków zapisało się 14 kupców, a jest nadzieja, że przynajmniej 25 należeć będzie. Zarząd składa się z pp.: Wł. Sztukowskiego jako prezesa, M. Jachockiego zastępcy, Z. Kowalskiego sekretarza, P. Muszyńskiego zastępcy i St. Sliwińskiego skarbnika.

Nekrologia.

† Ś. p. *Ludwik z Skrzypna Twardowski*, dnia 28 go z. m. w Kobylnikach w 21-ym roku życia

† Ś. p. *Stanisław Poturalski*, dnia 28-go z. m. w Ostrowie, przeżywszy lat 20.

† Ś. p. *Maryanna Melerowicz z domu Jeleńska*, dnia 28-go z. m. w Poznaniu, w 27-ym roku życia.

Ś. p. *Marya Ciesielska*, dnia 29-go z. m. w Berlinie w 59-ym roku życia.

† Ś. p. *Franciszek Hasiński*, dnia 30-go z. m. w Berlinie w 53-im roku życia.

† Ś. p. *Bolesław Jackowski*, dnia 29-go z. m. Pogrzeb odbył się dnia 1-go b. m. w Siemianicach.

† Ś. p. *Marya z Mlickich Lutostańska*, córka ś. p. Teofila Mlickiego z Osówca, weterana 1831 r., dnia 25-go z. m. w Nieborzynie w Król. Polskiem.

† Ś. p. *Michał Wilkans*, dnia 25-go z. m. w Rowienicy w Prusach Zachodnich, przeżywszy lat 69.

† Ś. p. *Edward Michałowski*, dnia 24-go z. m. w Chełmży w Prusach Zachodnich w 49-ym roku życia.

† Ś. p. *Maksymilian Dandelski*, dnia 25-go z. m, w Rogoźnie.

† Ś. p. *Zuzanna z Rutkowskich Thilowa*, dnia 24-go z. m. Pogrzeb odbył się w Poznaniu,

Ś. p. *Józefa Leporowska*, dnia 2-go b. m. w Poznaniu.

Od Redakcyi.

— *Jeden z Czytelników naszych* zapytuje się na tej drodze, gdzieby się mógł osiedlić *rodak kotlarz* i to w takiej okolicy polskiej, w którejby mógł się starać o roboty gorzelnicze.

— *Komisyi Metalowców Polskiego Związku Zawodowego*. — Notatkę o zeszłoniedzielnem zebraniu otrzymaliśmy zapóźno, dlatego nie mogliśmy zamieścić w numerze 14-ym.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— Za 2 marki 30 pięknych pocztówek i broszurka 1—5) Lech, Czech i Rus 5 egz. 6—10) Staszyc, Karol Marcinkowski i M. Jackowski 5 egz. 11) Polak poddaje się tylko Bogu (Sowiński pod Warszawą). 12) Andrzej Niegolewski pod Somo-Sierrą. 13) Kopalnia soli w Wieliczce. 14) Dziewica Orleańska. 15) Kolibry. 16) Mickiewicz, Słowacki i Krasicki. 17) Szczerbiec, miecz Bolesława W. podług rysunku W. Eliasza, 18) Jan Kiliński, szewc warszawski. 19) Krakowianka. 20) Orzeł Karpacki.

Dla objaśnienia dodaję, że Lecha, Czecha i Rusa, oraz Staszyca, Marcinkowskiego i Jackowskiego ofiaruję po 5 egz., bo są pięknie wykonane podług rysunku artysty P. Gardzielewskiego i na czasie, zatem stósowne na podarki. Postać M. Jackowskiego w znanej rogatywce prześlicznie oddana. Cena dwóch tych pocztówek wynosi 15 fen. inne po 5 fen.

Broszurka, opisująca życie i czyny trzech tych mężów 15 fen., z przesyłką 20 fen.

55 pocztówek Lecha, Czecha i Rusa — oraz 55 Staszyca, Marcinkowskiego i Jackowskiego dostarczam za 5 marek. Proszę o poparcie. Zamówienia pod adresem: *P. Chociszewski, Gniezno — Gnesen.*

Pożyteczne to wydawnictwo zasłużonego wielce około oświaty ludu publicysty i literata, nękanego procesami i chorobą, który w więzieniu pruskiem za przestępstwa prasowe spędził pięć lat, i który wskutek 35 procesów prasowych utracił kilkanaście tysięcy marek,—polecamy jak najgoręcej względom Szanownych Czytelników.

Dział szaradowy.

SZARADA I.

Pierwsze-pierwsze, dziecię trzecie drugie-[drugie,
Bo wstecz i wporst trzecia, bardzo jest [znużona!...
Przeszły zimne dzionki, smutne noce [długie,..
Pójdziemy na spacer, gdzie łąka zielona!
Ślicznie świeci słonko, ziemia się ogrzała,
I już do nas cała, dzisiaj zawitała.



SZARADA II.

Figiel.

Z nazw, jakie tutaj podane:
Emir, Lewi, kort i dery;
Trzeba odjąć dwie litery;
A zaś z reszty — złożyć znane
Nazwisko znakomitego
Dziejo-pisarza polskiego.

Rozwiązania nadejść winny do dnia 15-go kwietnia.

Rozwiązanie Łamigłówki literackiej z nr. 13-go

SZewskie dziecko.
HrYhor Serdeczny.
DruGie Boże przykazanie.
Sama. Mąż z rezerwy.
Pod obUchem.
ZbłąkaNy.
Serce maTczyne.
Ofiary. KoMysznik.
Krwawe dzieje.
Wasyl HoŁub.
OstapeK.
RotułOwicze.
Dwór W Chrustowie.
Pod Szlachecką strzechą.
Za Króla Olbrachta.
NIezaradni.

Zygmunt Miłkowski

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Jan Badura z Rozdzienia, P. Sztarkówna z Żnina, Helena Jakubowska z Rzeszowa (Gal.), J. Knopp z Str. Zabrza, L. Fitz z Roździenia.

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę na „Pracę“
na bieżący kwartał,
gdyż każda poczta zobowiązaną jest dostarczyć zaległe numery z bieżącego kwartału.

Pod opaską wynosi prenumerata kwartalna:

w Galicyi i Austro-Węgrzech:
2 kor. 30 hal.
we Francyi i w Belgii:
4 franki.
w Anglii:
3 szylingi.
w Ameryce:
1 dolar.

Kwity pocztowe na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczone są przed inseratami pod okładką.

NADESŁANE.

Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

Bnin.

W. Flens, (Hotel) towary kolonialne, cygary, t. tunie i t. d.

Buk.

Miecz. Szczodrowski, drogerya.

Gniezno.

Materyały na suknie, płótna białe i kolor., firanki, bieliznę, trykotaże, rękawiczki, pończochy, chustki, miecały, płachty żniwowe etc. po cenach

Leon Żychliński, Farna 18

Gostyń.

Z. Janaszewski. Warsztat wyrobów ślusarskich. — Skład kół i maszyn do szycia

Zakład ślusarski **B. Urbanowicza** wykonuje drzwi żelazne, ogrodzenia parków, kraty grobowe i krzyże. Okuwa drzwi, okna i bramy i t. d.

Jarocin.

„Drogerya pod kotwicą" **W. Chylewski,** poleca towary drog., apteczne, kolon. spec.: farby, pokosty, lakiery, mydła i perfumy w wielkim wyborze.

Jaraczewo.

Franciszek Flieger, Handel kolonialny, szkła, żelaza, smoły, papy i cementu. Towary bławatne i krótkie.

Kępno.

L. Małuszek w rynku. Skład bławatów, płócien, bielizny, stołowizny, firan, dywanów, konfekcyi damskiej i męzkiej i sukna.

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.
Edmund Karłowski.

Kościan.

Hipolit Brzeziński, rynek, towary korzenne, łakocie, specyalny skład win.

Koźmin.

Teofil Pilarczyk (dawniej Lissowski) hotel i restauracya; tow. kolonialne, cygara wina, i destylacya.

Centralna Drogerya **K. Suwaliński** Towary drogeryjne i kolon., farby, lakiery, perfumy i td

Maryan Kolaski Skład sukna, materyałów na suknie, jedwabii, płócien, stołowizny, bielizny, firan, kobiercy, towarów modnych, białych i krótkich.

Kobylin.

J. Gajowczyk. Pracownia garderoby męzkiej podług miary, oraz jedyny polski skład sukna, bielizny, kapeluszy. Wielki wybór ubiorów gotowych dla dzieci i dorosłych. — Ceny najtańsze.

Kostrzyn.

Michał Woźny poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

Kórnik.

L. Ellmann, Hotel Viktoria skład win, araków, rumów, koniaków i cygar.

Krzywiń.

Drogerya pod Aniołem **J. Dobrowolski,** ul. Kościelna. Oliwy i smarowidła. Artyk. apteczne drog. toalet. i domowe. Skład win i cygar. Farby, lakiery, pędzle i szczotki. Proszek dla świń.

Lesno.

Pomorski & Karczewski właść: J. zet Pomorski, skład bław., płócien, konfekcyi itd.

„Orłow" A. Zakowski. Fabryka papierosów, tytoniu, kartonaży i gilz.

Miejska Górka.

A. Wybieralski. Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

Mosina.

Stanisław Michałowski Zakład malarski artystyczno-dekoracyjny. Wykonuje wszelkie restauracye jako też nowe budowy, kościoły, sceny teatralne itp. Specyalność: pejsaże. Kosztorysy i szkice bezpłatnie.

Oborniki.

E. Speichert obok apteki hurtowny i detaliczny skład towarów **drogeryjnych i farb.**

Ostrów.

J. Kopecki, Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal. Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu.

J. Obecny, przy starej aptece. Skład bławatów, bielizny i konfekcyi damskiej.

Ostrów.

Drogerya pod złotym jeleniem **F. Anczykowski dawn. T. Mazur,** rynek 21, telefon 67, poleca farby, lakiery, pędzle, karbolineum, smarowidło na osie, oliwy do machin itd. Hurt. i detalicznie.

W. Woziwodzki, skład bławatów, sukna płócien, bielizny damskiej i męzkiej — Konfekcya damska.

Plessew.

Drogerya **F. Kurowski.** Skład chemikaliów, perfumeryi — Nawozy sztuczne wszelkiego rodzaju.

Rawicz.

„Globus" (I. Mrówczyński) Szklarnia budowlana i artystyczna. Specyalność: okna wystawne. Oprawa i skład obrazów. Skład luster, dewocyonalii i mat. piśm.

Poznański Dom towarowy **Adama Ratajewskiego** poleca bławaty, płótna, bieliznę, konfekcyą itd. Ceny tanie, lecz stałe.

J. Mroczkowski. Skład tow. kolonialnych, delikatesów, herbaty, araków, wódek i cygar. **Handel win.** Drogerya: farby, lakiery, perfumy smarowidła na osie, oliwy do machin etc.

Smigiel.

J. Abt jr. Handel żelaza i wszelkich artykułów budowlanych.

M. Stachowiak. Skład towarów drogeryjnych, kolonialnych oraz przyborów fotograficznych.

J. Karpiński. Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

Śrem.

Cennik — **B. Rychlewski,** zegarm. Skład zegarów ściennych i kieszonkowych, optycznych przedmiotów, wszelkiej biżuteryi — gratis

A. Zwierzchowski, pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.

Szamotuły.

M. Szydlarski towary łokciowe, materye na suknie, bieliz., kapelusze itd.

Tomasz Walczyk handel tow. kol., zboża, mąki i nasion. Wymiana wszelkiego zboża na kasze lub mąkę.

Szamotuły.

Antoni Schwarz. Zakład dentystyczny. Praktykuje od roku 1894. Sztuczne zęby, plomby złote, srebrne itd., leczenie chorych zębów, wszelką operacyą wykonuje bez bólu. Ceny przystępne.

Strzałkowo.

Największy dom towarowy **W. Ziarniaka** poleca materye wełniane i na suknie, płótna, towary krótkie, garderobę męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary. Równocześnie polecam darte gęsie pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

Wągrówiec.

W. Łukowski, skład cygar, papierosów i tytoni, sprzedaż hurt i detal.

Wielichowo.

L. Wilczak. Skład kolonialny i delikatesów.

Wronki.

J. Giałczewski, skład bławatów, płócien i towarów krótkich

Wreśnia.

Centralna Drogerya H. Bąkowska naprz. poczty poleca wszelkie artykuły gospodarcze i domowe. **Farby, lakiery, pokosty. Artykuły fotograficzne.**

Edw. Kubale mistrz blach. pokrywa dachy cynkiem, koproniną, papą podwójną. Wykonuje dachy holcementowe nowuje dachy ... odzone.

Wolsztyn.

Drogerya pod gwiazdą I. Kowalski. Skład towarów drogeryjnych, smarowideł, farb, lakierów i pędzli.

„Bazar" (Józef Łukomski) Handel żelaza, materyałów budowlanych, oraz maszyn i narzędzi rolniczych Telefon nr. 20.

Zaniemyśl.

Stanisław Preiss. Pracownia pojazdów i lakiernia, gotowe pojazdy, bryczki itp. Fabrykacya ogrodzeń, nadgrobków z żelaza kutego.

Miejsce wolne do dalszych ogłoszeń.

= Pługi parowe =

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od **28,000 marek.**

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach

655

John Fowler & Co., Magdeburg.

Papierosy

w 16-tu gatunkach już od 6 M. do 32 M. za mill poleca

Fabryka papierosów i tureckich tytuni

„LUCIA"

3

A. Jankiewicz w Dreźnie, Neuegasse 48.

Humorystyka.

Teraz już po nas!

(Bajka).

Jeśli jest prawdą, co fama głosi, to nadszedł rzeczywiście dla nas ostatni kres. Dowodem na następujące twierdzenie służyć co prawda nie jesteśmy w możności, ale jeśli weźmiemy na uwagę, że dziś w świecie wszystko możliwe, o czem się niejednokrotnie przekonaliśmy dowodnie, natenczas nie mamy przyczyny wątpić, że się stanie wkrótce, co sobie hakatyści jako pewnik cicho szepcą do ucha. Sprawa ma się tak.

Wiadomo ogólnie, że podług orzeczenia jego ekscelencyi kanclerza i hrabiego Buelowa, trudno jest pokonać Polaków, ponieważ się mnożą, jak istne króliki, czemu nawet taka potęga, jak hakata, przeszkodzić nie może. Hakatystom przyszedł jednak w pomoc ślepy przypadek, który do tego doprowadzi, że zginąć musimy z kretesem, tak że nawet pamięć o nas zaginie.

Nie od dziś dopiero wiedzą ludzie, że bociany przynoszą dzieci kominem. Otóż jeden z niemieckich kolonistów często siadywał z fajką i garncem piwa przed domem i obserwował z nudów bociany, których w tej okolicy było bardzo wiele. Zrobił przytem dziwne spostrzeżenie, iż niektóre bociany stoją przeważnie na prawej, a inne na lewej nodze. Starał się rozwiązać zagadkę i zdawało mu się, że dociekł nareszcie prawdy. Z odkryciem swojem zwierzył się hakatyzmowi, a ten przeznaczył sławnego ornitologa, nazwiskiem pewnie Schultze albo Mueller, aby dalej badał spostrzeżenia i twierdzenia swego niemieckiego osadnika.

Ów profesor zabrał się do pracy ze znaną u Niemców ścisłością; objechał Galicyą, Królestwo, Slązk i całe nieomal Prusy.

Wynik swoich badań złożył w dwutomowem dziele, które się znajduje jako manuskrypt jeszcze pod sześciu kluczami i pod strażą w niemieckiej bibliotece, ażeby przypadkiem kto niepowołany tajemnicy nie wykradł. Jeden z przedstawicieli głównego hakatystycznego organu, który jak wiadomo, skinąć tylko potrzebuje, aby się przed nim wszelkie podwoje otwarły na rościeź, przestudyował już owe dzieło uczonego. Otóż okazuje się z absolutną pewnością, że bociany stawające na prawej nodze, zawsze tylko noszą dzieci do polskich domów. Hakatyści wysnuli na tej podstawie trudny rzeczywiście, ale najlogiczniejszy wniosek, że przeszkodzi się króliczemu rozmnażaniu Polaków, jeżeli się wytępi bociany, stawające na prawej nodze. W stolicy chętnie dano ucho podszeptom i już w przyszłej sejmowej kadencyi przyjdzie pod obrady ustawa, obowiązująca tępić u nas bociany, czyli prawonogi.

Chodzi tylko o to, kto ma być takim obowiązkowym myśliwym. Ponieważ hakata się obawia, że tę ważną funkcyą mogliby ludzie przypadkiem spełniać fałszywie i szkodliwie, przeto istnieje zamiar wybrania na ten cel najcelniejszych strzelców z grona hakatystów i rozlokowania ich po wszystkich polskich wsiach i miasteczkach, ażeby każdego bociana prawonogiego poczęstować kulą bez pardonu.

Jeśli się sprawdzi powyższa wiadomość, którą sobie hakatyści na ucho opowiadają, to trudno nam jest nawet pojąć ogrom narodowego nieszczęścia, bo wtenczas rzeczywiście, jak to p. hr. Bülow kilka razy przepowiadał, za lat 50 już ani jednego Polaka w Prusach nie będzie.

Ciężko nam uwierzyć, aby sama natura tak się sprzysięgła na naszą zgubę, więc tą pocieszamy się jeszcze myślą, że może niemiecki uczony się omylił.

Rzecz najważniejsza, że żyjemy dziś — a jutro będzie, co Bóg da.



A TO!

A to przyszła Nemezis na czasowej fali!
A to sprali Moskali,
A to im łupnia dali!

A to ich obskoczyli gracko na terenie!
A to już po Mukdenie,
A to po bladze i wenie!

A to kolosa poderwali nogi!
A gdzież jest Goliat srogi,
Co łacno zgnieść miał wrogi?!

A to czynowników lamentują zgraje!
A to minęły raje!
A to nikt nic nie daje!

A to początek tragedji kończymy!
A to *z przeszłości* — dymy!
A *przyszłość?*... zobaczymy.



Z wojny.

— Słyszałeś? Kuropatkina wzięli Japończycy do niewoli.

— Nie może byc!

Z pewnością, — puścili go jednak na wolność, kiedy dał słowo honoru, że aż do końca wojny pozostanie na czele armii rosyjskiej.



Ciekawy.

Pięcioletni Staś, przechodząc ulicą w towarzystwie bony, zauważył wysokiego, wspaniałej postaci mężczyznę, o którym słyszał, że ma być rosyjskiem konsulem. Zostawiając bonę podbiega doń, kłania mu się grzecznie i pyta śmiało:

— Proszę pana, czy pan jesteś Rosjaninem?

— Tak jest chłopczyku, odparł zdziwiony pytaniem konsul, — ale dlaczego pytasz mię o to?

— Ach, proszę pana, niech mi pan pokaże swoje gliniane nogi.

Cooo?

— Gliniane nogi — proszę pana, bo tatko mówił, że Rosja jest kolosem na glinianych nogach.



Najchętniej.

Ona — ona — salon — miłość — czar...
Krew w żyłach gra i tętni
On szepnął jej: „Mą żoną bądź!"
A ona mu: „Najchętniej".

Ślub — rok pożycia — dużo zmian..
Oboje źli, czy smętni...
On szepnął jej: „Rozwiedźmy się".
A ona mu: „Najchętniej".



Z mównicy profesorskiej.

„Świat mniemał, iż fałszywy książe był synem swego ojca, lecz bynajmniej tak nie było".

„Karol V był ciekaw wiedzieć co się stanie po jego śmierci, więc położył się i umarł na rok przed śmiercią!

„Jeżeli chcecie motyle lub owady nakłuwać na szpilki i rozpinać, należy je przedtem kroplą eteru uśmiercić, wówczas bowiem zupełnie tracą samopoczucie".



Właściciele i Wydawcy: „Praca“ Drukarnia Nakładowa Sp. z ogr. p. — Redaktor odpowiedzialny: Bolesław Rakowski w Poznaniu.
Drukiem „Pracy“ Drukarni nakładowej w Poznaniu.